Nr. 1. Poznań, dnia 2 stycznia 1910 r. Rok XIV

Abonament
wynosi kwartalnie
na poczcie . . 1,50
z odnoszeniem
do domu 1,62
pod opaską . . 2,75

PRACA

Adres Redakcyi:
Poznań,
ul. Rycerska Nr. 38
Telefon Nr. 97
Ogłoszenia:
od wiersza drobnego
30 fen.

TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.



Paula Wężyk.

W noc Noworoczną.

Znów w niepowrotne czasów otchłanie
Rok, jakby kropla w morze się stoczy,
Znów nowy przyjdzie, u steru stanie,
Zdziwione na świat otworzy oczy.
O, już staremu wzrok blednie, gaśnie,
Łabędzią pieśń swą nuci w natchnieniu
I dźwięczą wróżby, przestrogi, baśnie,
Dziwne postacie snują się w cieniu.
I płyną szepty wrzawą stłumioną
Ponad murami starego grodu
I krzykiem śmierci drży starca łono:
„Słuchajcie głosu Ducha Narodu!
Słuchajcie głosu, co z pod obłoku
Zabrzmi wam dzisiaj jakby przestroga,
Zbudźcie się wszyscy, bo raz do roku
Tak woła na was on z woli Boga!“
Już się rok stary pręży w agonii,
Już jękiem śmierci drży łono starcze,
Niebo się dziwną jasnością płoni,
Chrzęszczą zbroice, srebrzyste tarcze
I Duch Narodu, Anioł skrzydlaty
Wzniósł się nad nasze sioła i chaty.

Duch Narodu.

Mijają długie, długie lata,
A ja co roku zrywam się,
Na skrzydłach orła Duch mój wzlata,
O, moja ziemio, witam cię!
Witam cię ziemio moja święta,
Co dźwigasz wielki, ciężki krzyż,
Dzisiaj tyś łzami przesiąknięta,
Lecz z za chmur słońce wzejdzie zwyż.
Och, bo ta Boska wszechpotęga,
Co łączy zmarłych z światem tym,
Co hen, od nieba ziemi sięga,
Położy koniec mękom twym.

Jakież radosne, dźwięczne echo
Dziś mnie zbudziło z długich snów,
Aż w piersi serce drga pociechą
I choć na chwilę żyję znów.
Żyje myśl moja w waszem gronie,
Kipi wam w żyłach prąd mej krwi,
Szlachetną myślą bije w skronie,
Szlachetną myślą w oku lśni.
Nie, — nic nie zdoła rwać ogniwa,
Które krew spaja z wieków w wiek,
Dziś Duch mój ku wam się wyrywa,
Waszego życia mierząc bieg.

Ongi, ją wiodłem na skraj świata
Walecznych hufiec w bitwy gwar,
Dzisiaj nie oręż, lecz oświata
Rozpala w duszach, w sercach żar.
O, chwała wam, że ziarna wiedzy
Siejecie hojną dłonią wciąż,
Widzę jak wschodzą na tej miedzy,
Jak z chłopka wzrasta dzielny mąż.
Chwała wam, dawnych ojców syny
Za każdy na tej drodze krok,
Do ponadziemskiej mej krainy
Spokojny w mglisty wracam mrok.

Idę, głos Boży mnie przyzywa,
Czas do wieczności wraca wrót,
Lecz jak wiążące się ogniwa,
Co tworzą łańcuch łez i cnót,
Zostaną z wami Przeszłość sławna
I Teraźniejszość smutna tak
I wymarzona już od dawna
Przyszłość młodzieńcza, — lotny ptak.
Chciejcie posłuchać, ja iść muszę,
Niech was upoi dźwięk ich słów,
Niech w słodkiej wzmocnią was otusze,
Ja już w krainę wracam snów.

Wracam, lecz ufny, że ta chwila,
Której użyczył mi dziś Bóg,
Rąbek zasłony wam odchyla
Wskazując nowy życia próg.
Wracam, lecz ufny, że tej siły,
Którą tchnę dzisiaj w głębię łon,
Wy nie stracicie do mogiły,
Ni ją przygłuszy trwogi dzwon.
Wracam i wierzę, że zbudzeni
Wchłoniecie słowa w serca głąb...
Przeszłości świetna, z mrocznych cieni
Chociaż na chwilę zstąp tu, zstąp!

. . . .

Ach, postać świetlana jak rozbrzask, jak zorze,
W królewskiej purpurze przepływa nad nami
I nuci i mówi... O, Boże, mój Boże,
Korona i berło lśnią złota blaskami...

Przeszłość.

Synowie moi, znacie mnie i wiecie,
Jaką potęgą cieszyłam się w świecie,
Jak liść wawrzynu zdobił moje czoło,
Jakie szerokie zataczałam koło.
Wiecie, że łaska świeciła mi Boża
I że szmat ziemi od morza do morza
Jak matka dziecię tuliłam do piersi,
Wy wiecie o tem, o moi najszczersi.

Wiecie, że płomię miłości nie gasło
I że w potrzebie ledwie dano hasło,
Wnet rąk tysiące oręży dobyło,
By praw Ojczyzny krwią bronić i siłą.
Krew waszych przodków lała się szkarłatem,
Dłoń ich waleczna słynęła przed światem,
Bo jak prawdziwe sługi Chrystusowe,
Za krzyż i kraj swój chętnie nieśli głowę.

Ufni w zwycięstwo szlachetnej swej sprawy
Bronili silnie ojczystych ziem nawy,
Bóg błogosławiąc ich wiernej otusze
W siły nadziemskie opuklerzał dusze
I pod Grunwaldem zgiął się kark Krzyżaka,
A wieść tej chwały biegła lotem ptaka
I dumą biły wszystkie serca w łonie,
Niech tem wspomnieniem i dziś serce płonie!

Tak za latami płynęły znów lata,
A biały orzeł dumnie w górę wzlata.
Oto pod Wiedeń dzielny Jan nasz trzeci
Z pomocą Niemcom przeciw Turkom leci
I świat zdumiewa waleczną postawą
I pole bitwy ściele trupów ławą...
Ach, wszak już wiecie, dziadowie szermierze
Kiedy walczyli, to walczyli szczerze.

Cóż to? zachodzi słońce na błękicie,
Koniec dniom chwały... Ach wszakże pomnicie,
Jak w tej najgorszej wewnętrznej rozterce
W kawały rwało się Ojczyzny serce
I łono matki jak żarłoczne sępy
Jej własne dzieci w krwawe rwały strzępy...
Cicho, szlechetne wstrząsnęłam wam dusze,
Dość już o smutnej dziejów zawierusze.
Dość już, dni przeszłych sam Pan Bóg nie zmieni,
Występni żalem z winy oczyszczeni,
A za tę garstkę, co Ojczyznę rwała,
Jakaż znów nowa wzrosła dla niej chwała,
Jakież to nowe i wielkie postacie,
O których dotąd w każdej gwarzą chacie,
Co do ostatka trwając przy sztandarze,
Stawiali w sercach Ojczyzny ołtarze.

Wódz nasz Kościuszko, Naczelnik w sukmanie,
Wszakże to ludu chwała i kochanie.
„Marsz, marsz Dąbrowski!“ O, nasz bohaterze;
Ta pieśń o tobie wciąż rozbrzmiewa szczerze.
Ot, książę Józef o walecznej duszy,
Kogóż przedwczesna śmierć jego nie wzruszy?
Niezagubieni w czarnych lat otchłani
Wy wciąż żyjecie, wyście wciąż kochani,
Chwała wam, chwała!

. . . .

O, cóż to za postać, sierota, czy wdowa,
W ciernistej koronie i w szacie żałobnej?
Rękoma skutemi na piersi krzyż chowa
I mówi, a głos jej do jęku podobny.

Teraźniejszość.

O, siostro, falą wzorzystej wstęgi
Płynęły jasne dni twej potęgi
I sławny, świetny żywot twój długi
Pełen tryumfów, chwały, zasługi...
Lecz patrz, dziejowa zwraca się karta
I oto klęczę ze czci odarta,
Ciężki na barki krzyż mi wtłoczono,
Głowę cierniową wieńcząc koroną,
Ciężkie kajdany dźwigam na ręce
I żyję — co dzień konając w męce.

O, tyś jaśniała jak jasna zorza,
Co złoci blaskiem góry i morza,
Tyś dumnem czołem sięgała chmury
W złotej koronie, w płaszczu z purpury.
Lecz gdy niezgoda, brak sił, zwątpienie,
Na jasne dni twe rzuciły cienie,
Ty, jakby dumna, gniewna królowa,
Co gdy umiera berło swe chowa,
Odeszłaś siostro, w gniewu potędze,
A mnie skazałaś na ból i nędze.

I oto klęczę nad mą mogiłą,
Ale się nie dam wtrącić w nią siłą,

Nie, bom ja mocna cierpieniem mojem
I krwawym potem, łzami i znojem,
Nie, — zgiąć mnie mogli, lecz nikt nie złamie
Tego, co Boże dźwignąć chce ramię.
Ach, — ja głos słyszę... Gdy moc opada,
Kiedy zwątpieniem niema i blada
Chwieję się w strasznych losów zawiei,
Ten głos mi szepce — nie trać nadziei!

Jam tą nadzieją silna, spójrz siostro,
Chociaż wróg dłonią ściska nas ostrą,
Spójrz, jak się budzi duch samowiedzy,
Przejdź się po naszych polach i miedzy,
Jak bujnie wschodzi oświaty ziarno,
Jak się ku światłu dzieci me garną.
Spójrz po sierocej ziemi obszarze
Jak wiernie trwają przy swym sztandarze
Panowie, szlachta, mieszczanie, kmiecie,
Starcy i młodzież i drobne dziecię.

Więc co dzień wzrasta moja odwaga,
Gdy starcom dziecię krzyż nieść pomaga,
Gdy dla miłości świętej Ojczyzny
Na drobnem ciałku ponosi blizny,
Gdy kocha Boga, dla świętej sprawy
Przyjmuje cicho ból chłosty krwawej,
Gdy od łez gorzkich drżą mu powieki,
Toć chyba cierpień kres niedaleki,
Koniec im Boża położy ręka,
Zaświta w górze jasna jutrzenka!

Bo tu tej jutrzni, ku złotej zorzy,
O, ludzie czynu, wy z woli Bożej
Lud swój wiedziecie budując szańce,
Jasne oświaty niosąc kagańce.
Cześć wam i chwała za wasze czyny,
Za silne lepszych dni podwaliny!
Cześć ci i chwała ludu mój, ludu,
Co nie żałujesz pracy ni trudu,
Cześć ci, — ja wołam złamana, krwawa,
Bo tobą stoi ojczysta nawa!

. . . .

Zjawisko nadziemskie... Z postaci młodzieńczej,
Uroczej i zdobnej w czystości potęgę
Czar bije niebiański, z róż wieniec skroń wieńczy
I spływa znów ku nam, a w ręku ma księgę.

Przyszłość.

Z za chmur, z za mgły, ja, tajemnicza
Idę już ku wam, idę już...
W piersi mej tli się ogień Znicza,
Na twarz wykwita odblask zórz.
Idę już ku wam w jasnej szacie,
Dzieli mnie od was tylko krok,
Czem będę dla was, wy pytacie?
Nie wiem, lecz pragnę przedrzeć mrok.

Chcę zbudzić to, co śpi w mogile,
Chcę minionemu wrócić cześć
I wskrzesić to, co drzemie w pyle,
Dary wam hojną dłonią nieść.
W piersi tchnąć siłę hartu, woli
I otrzeć łzy, ukoić żal,
Z wiekowej wzniósłszy was niedoli
Chcę was w promienną powieźdź dal.

Lecz nie tak wielka ma potęga,
Bym sama z bark krzyż zdjęła wam,
Patrzcie, w mej dłoni wielka księga,
W niej czyny Pan Bóg pisze sam.
Czyli z was każdy wolą wsparty
Widząc przed sobą święty cel,
Czynem zapisze się na karty,
Których połyska śnieżna biel?

Czy na przeznaczeń waszych szali
Dni przyszłe zważą przeszłe dni?
Czy własna praca was ocali?
Nie wiem, — lecz ufność w oku lśni.
Więc ufna ku wam spieszę szczerze
I pozdrowieniem witam was:
Witajcie mi, dzielni szermierze,
Dni przyszłych idzie ku wam czas!

Witajcie mi, ja ufna spieszę
I dłoń wyciągam zdala już,
Wiedziecie ku mnie ludu rzeszę,
Ku nowym świtom jasnych zórz.
Witajcie mi, o dzielne syny,
Z uznaniem ku wam chylę się,
Cześć wam za zbożne wasze czyny,
Cześć wam i chwała, zdali ślę!

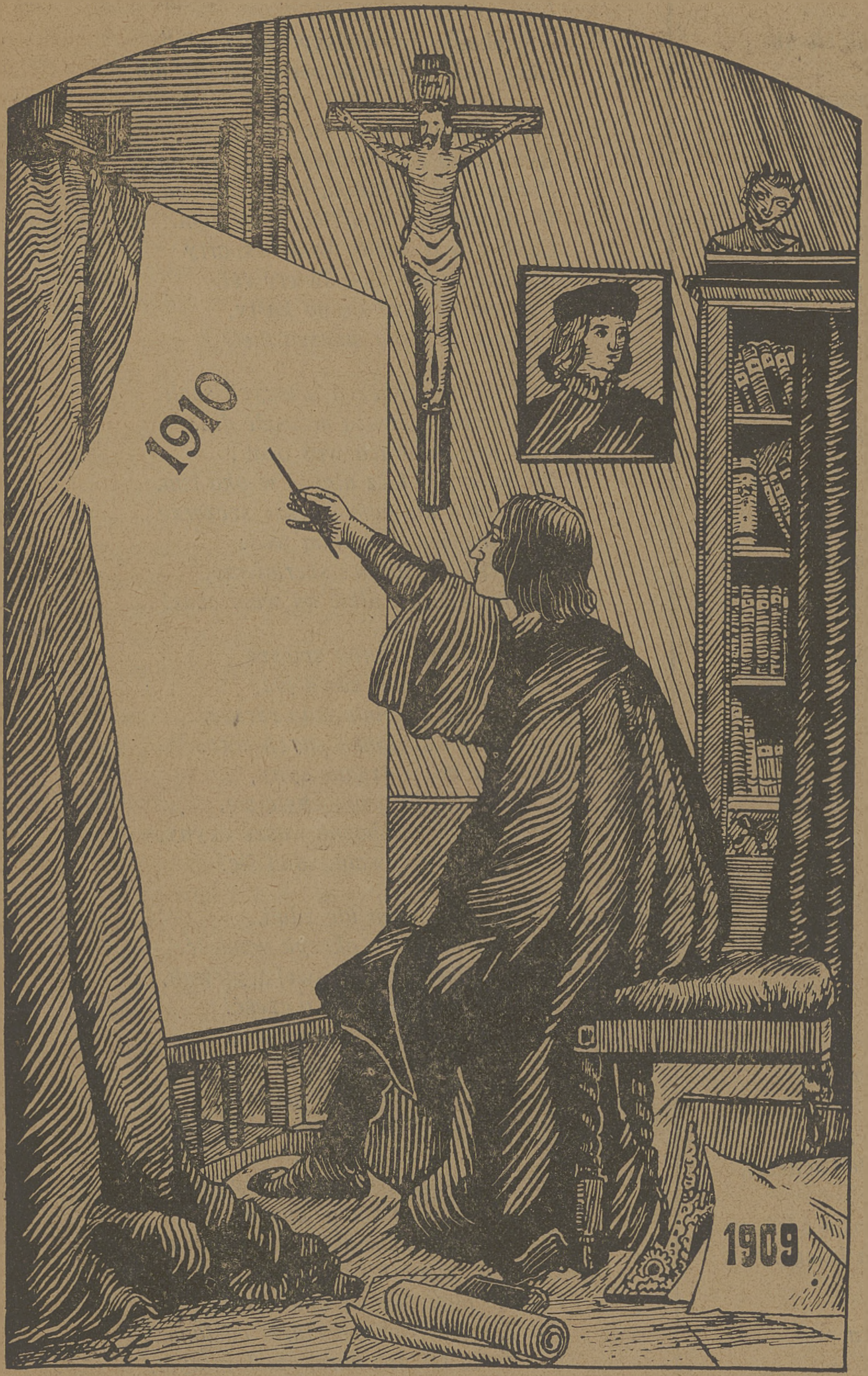
Ufna już ku wam idę zdali,
Aby dziękczynny okrzyk wznieść:
Tym, co przy pracy swej wytrwali,
Za plon żywota cześć, o cześć!
Cześć, iż wcielają słowa wieszcze,
Że, — „jeden tylko, jeden cud
Ojczyznę zbawić może jeszcze
To — z szlachtą polską, polski lud!“

. . . .

Noc w okół głucha, Rok stary kona,
Umilkły głosy i znikły cienie,
Z głębi starczego, drżącego łona
Ostatnie, ciche biegnie westchnienie.
I jedno mgnienie i jedna chwila,
Już Roczek Nowy chmurki odsłania,
Frunie na lekkich skrzydłach motyla,
Na ustach drży mu znak zapytania.
W oczach mu błyszczą iskry zapału
I własnem życiem sam się napawa,
Z młodzieńczym ogniem wśród śmiechu szału
Chwyta ster rządów wchodząc w swe prawa.

. . . .

O, młody władco, w dniach panowania,
Mnóż nasze siły, dodaj otuchy,
Niech razem z zorzą twego zarania
Nowe i silne zbudzą się duchy!



Nowy Rok.

Na progu Nowego Roku.

I znowu stanęliśmy na progu nowej, nieznanej przestrzeni czasu, która się podnosi na widnokręgu dziejów.

Rok nowy się rodzi.

Azali lepszy będzie od starego? Azali cięższe nam gotuje losy?

Próżne pytania.

Nikt śmiertelny nie wywróży przyszłości, którą Mądrość przedwieczna nieprzeniknionym zakryła całunem tajemnicy.

Wstępujemy w przyszłość niezbadaną i nikomu niewiadomą. Jeden Bóg tylko czyta w księdze naszych przeznaczeń.

A jednak sili się oko ludzkie zajrzeć za tę zasłonę, która zazdrośnie zakrywa przyszłość nieznaną.

Historya i doświadczenie życiowe uczy, że jest pewna ciągłość w dziejach i istnieje logika faktów, która sprawia, że bieg zdarzeń przyszłości zwykł toczyć się w torach i kierunku przez przeszłość przygotowanym.

To też nikt z nas nie łudzi się nadzieją jakichś nagłych a szczęsnych zmian. Nikt nie spodziewa się ulg nadzwyczajnych. Każdy raczej z obawą w przyszłość spogląda i pyta siebie i drugich, azali nowe ciosy nie spadną na nasze skołatane głowy, azali nowe więzy nie skrępują silniej jeszcze naszych pracowitych rąk, azali nowe ograniczenia nie ścieśnią jeszcze bardziej naszych szczupłych a ciągle uszczuplanych praw.

I podnosi się jeszcze jedno najboleśniejsze, najkrwawsze pytanie, czy nad głowami naszemi nie buchnie płomień najstraszliwszej z walk, walki domowej, którą rozmaite znaki zdają się zapowiadać niestety.

Żyjemy w znaku naprężenia i niepokoju. Nawet okres świąteczny, dni, w których ludzie, pomni wzniosłych hejnałów anielskich, głoszących miłość i pokój walkami skołatanemu światu, chętniej niż kiedykolwiek oddają się dobrym i przyjaznym uczuciom i odsuwają o ile możności wszystko, co draźni, niepokoi i wnosi rozdźwięk w stusunki ludzkie — nawet te dni rozbrzmiewały hałasem walk partyjnych i gazeciarskich, wnoszących niepokój i rozdźwięk w społeczeństwo, któremu przedewszystkłem pokoju i jedności potrzeba, jeżeli narzuconą mu przez zewnętrznego wroga walkę ma stoczyć zwycięsko.

Czasy są poważne. To też obowiązkiem wszystkich dobrze myślących ludzi nie dać się wciągnąć w wir walk bratobójczych, z których tylko wróg imienia polskiego korzyści spodziewać się może.

Mamy zaufanie do szanownych czytelników naszych, że nie dadzą się schwycić na lep bądź to broszur pisanych przez ludzi niepoczytalnych, bądź na demagogiczną frazeologię, uprawianą w celach najordynarniejszego łapichłopstwa w pisemkach rewolwerowych, którym nie chodzi ani o czystość naszej myśli politycznej ani o nietykalność ideałów narodowych, (nikt ich bowiem kalać ani obniżać nie myśli), lecz o suty połów abonentów. Ten cel uświęca u nich wszystkie środki.

Wstępując w ten Rok Nowy, który ma być dla nas nowym okresem twórczej pracy narodowej, odwróćmy się że wstrętem od niecnej roboty demagogów, a zdajmy sobie sprawę z położenia i zastanówmy się nad środkami obrony.

Jesteśmy otoczeni morzem niemczyzny. Hakatyzm wysila się, by nas zgnieść ekonomicznie, by nas zatopić w morzu obcej kultury, by zatamować źródła, skąd płynie dobrobyt i oświata narodowa, by narzucić nam obcy język, obce zwyczaje, obce ideały. Wytoczono przeciwko nam cały arsenał potężnej kultury. Przeciw nam działa podziwu godny aparat najzmyślniejszej organizacyi państwowej. Za nami nie stoi nikt, oprócz Boga, który zawsze stoi po stronie słusznej i sprawiedliwej sprawy.

Lecz Bóg pomaga tylko tym, którzy sami sobie pomagają.

Znajdujemy się więc, jak każdy, kto ma oczy ku patrzeniu, widzi w trudnem niezmiernie położeniu, lecz bynajmniej nie rozpaczliwem. Nie mamy żadnego powodu, by ręce zwątpiałe bezczynnie załamać i biernie poddawać się losom. Nie ma też powodu do gorączkowego, odruchowego szamotania się. Są atoli wszystkie powody i jest obowiązek i konieczna potrzeba rozumnej, świadomej celu, stałej, przewidującej, twórczej pracy. Czy praca ta ma być „cichą“, czy „głośną“ — to zależy od każdorazowego położenia rzeczy. W pewnych wypadkach będzie na miejscu taki, w innych owaki rodzaj pracy, grunt wszakże, abyśmy zawsze działali i wszędzie działali — tak jak tego wymaga interes sprawy, o którą walczymy. Główna zaś arena naszej pracy leży nie w Berlinie w ciałach ustawodawczych, nie w politykowaniu z rządem i partyami niemieckiemi, lecz w kraju. Wielkiej polityki berlińskiej nie należy lekceważyć, lecz również przeceniać jej nie trzeba. Natomiast wszystko, co się dzieje u nas w kraju, we własnem społeczeństwie, to wymaga najpilniejszej z naszej strony uwagi i dzielnego współpracownictwa.

Jak w religii tj. w stosunku do Boga uczynki ludzkie tylko przez miłość i wiarę nabierają znaczenia wyższego, podobnie też i działalności naszej w dziedzinie polityki przyświecać winna miłość i wiara w naród i niespożyte ideały narodowe, które każdy uczciwy człowiek chowa w głębi serca, a wrogom na pastwę nie rzuca. Ideały narodowe, jak nie są przedmiotem targów politycznych, tak przenigdy nie powinny służyć za godło kramikarzom, handlującym frazesami patryotycznemi. Patryotyzm ludzi nie mierzy się też wedle frazesów, jakie rzucają, lecz wedle czynów, któremi służą społeczeństwu. Niechaj więc w tym nowym roku obudzi się powszechnie ten prawdziwy, rzetelny patryotyzm polski, który w usilnej pracy, wytężonej we wszystkich dziedzinach życia, upatruje swe zadanie. Niechaj umilknie zawiść i nienawiść partyjna, która każde słowo, każdy czyn przeciwnika partyjnego nicuje i tendencyjnie wykłada. Niechaj nareszcie raz ustanie ta wieczna, niepokojąca najniepotrzebniej i rozdzierająca społeczeństwo licytacya tanich frazesów patryotycznych, a niech miejsce jej zajmie współzawodnictwo w rzetelnych, twórczych czynach patryotycznych, których niestety po stronie najgłośniejszych krzykaczy naszych nie widać.

Listy od przyjaciół.

Z miasta, 27. XII. 1909.

Dowiadujemy się z różnych stron, że nasza uroczystość Gwiazdkowa z d. 16-go grudnia pomimo skróceń i zmian zaszłych w programie wskutek wielu wypadków żarnic pomiędzy dziatwą, podobała się Szanownym Rodzicom i Zacnym Gościom, którzy odwiedzić raczyli naszą skromną zabawę. — Jeśli tak jest istotnie, cieszy nas bardzo, że trudy podjęte w przysposobieniu przedstawienia z tak młodemi siłami nie poszły na marne, i że przy zabawach freblowskich, rozwijających siły fizyczne, dziatwa miała sposobność ćwiczyć się i doskonalić w ojczystym języku. Przy tej okazyi z wdzięcznością i uznaniem przyznać musimy, że do dobrego rezultatu przyczyniły się w większej mierze utwory obrane do deklamacyi i przedstawień scenicznych. Począwszy od milutkiego prologu aż do końca przedstawienia, zatem jasełka, gwiazdor i gwiazdka, deklamacye i śpiewy — wszystko było z małymi wyjątkami albo wprost utworem panny Pauli Wężyk, naszej sympatycznej poetki wielkopolskiej, albo przerobieniem i ułatwieniem utworów obcych jak np. dość trudnej fantazyi: „Zemsta kwiatów“, którą p. Paula Wężyk dla naszych młodych aktorów ułatwiła i dopełniła. W Jasełkach wypadło z powodu choroby dzieci kilka ślicznych postaci, dopełniających zręcznie całości, odznaczającej się nietylko pięknym językiem, ale i głębokiem uczuciem religijnem i narodowem. „Polska kolęda“, wygłoszona z uczuciem przez jedną z uczennic seminaryum, umieszczona w niedawno nakładem „Pracy“ wydanym zbiorku poezyi p. t. „Westchnienia i Uśmiechy“, jest prawdziwą perełką poezyi polskiej. Deklamatorki, tak dzieci jak i dorosłe panienki ćwiczyła w oddaniu swych poezyi sama autorka i dla tego też zapewne zyskały tak wielki aplaus. Raz jeszcze wyrażam tutaj pannie Wężykównie mą wdzięczność za udzielenie nam bezinteresowne swych utworów na przedstawienie gwiazdkowe, którego dochód w większej mierze przeznaczony był na cel dobroczynny.

Przy wybieraniu potrzebnych nam rzeczy miałam sposobność zajrzeć do teki naszej młodej poetki. Widziałam tam bardzo dużo innych ślicznych utworów, które powstały częścią na zamówienie, częścią pod wpływem swobodnego impulsu poetyckiego. Są to uscenizowane obchody uroczystości rodzinnych, wesół zwykłych, srebrnych i złotych, obchody jubileuszowe dla osób duchownych i świeckich (pomiędzy ostatnimi bardzo piękny utwór patryotyczny na złote gody hr. Kwileckich) jako i krótkie przedstawienie teatralne amatorskie. — Rzeczy takich nie szablonowo, ale *dobrze i stosownie* napisanych, brak nam wielki. Brak ten czują zwłaszcza osoby, które przy obecnej modzie czasu, gdy obchody i festyny z lada okazyi stały się nieomal potrzebą codzienną, zmuszone są prądowi temu się poddawać. Jakże miło w danym razie znaleść źródło, z którego na zawołanie „pour ainsi dire“ wytryska jak prąd żywej wody, poezya — improwizacya prawie — w równych formach i kształtach, odpowiadająca jednak zawsze trafnie potrzebom i wypowiadająca w gładkiej i barwnej formie to, co interesowana osoba zamierzała i pragnęła wyrazić. Takiem źródłem możemy nazwać bez przesady, oprócz innych głębszych jeszcze zalet, talent poetycki p. Pauli Wężyk i zwracamy na nią uwagę osób potrzebujących w danych razach podobnej pomocy. — Zachęcałam gorąco autorkę do jak najprędszego ogłoszenia drukiem wyżej wspomnianych utworów okolicznościowych, które niewątpliwie znajdą chętnych i skorych nabywców.

Walerya Puffke,
przełożona Zakładu freblowskiego.

* * *

Zgorzelice, 26. XII. 1909.

(Sprawozdanie z czynności Towarzystwa Polsko-katolickiego pod wezwaniem św. Józefa w Zgorzelicach od 1. X. 1908 do 1. X. 1909 r.)

Towarzystwo odbyło 25 posiedzeń zwyczajnych, na których brało udział przeciętnie po 17 członków, 1 walne i 5 posiedzeń Zarządu. Na początku roku liczyło Tow. 26 członków, w ciągu roku przystąpiło 4, a 5 członków wyjechało, tak iż obecnie liczy 25 członków. Tow. urządziło dwie zabawy, połączone z przedstawieniem amatorskiem: jedną z okazyi 11-ej rocznicy założenia Tow. i jedną zapustną, wieczorek familijny i Gwiazdkę, w której brały udział 32 dzieci; wreszcie urządziło Towarzystwo kilka wycieczek w okolice i jedną dla dzieci.

Dochodu mieliśmy w tym roku: 179.34 mk., rozchodu: 125,15 mk., pozostaje zatem czystego zysku 54,19 mk., tak że stan kasy w końcu roku wynosi 307,46 mk., z tej sumy znajduje się 251,20 mk. w Banku Przemysłowców w Poznaniu. Biblioteka Tow. składa się z 175 książek Tow. C. L. w Poznaniu

i 38 książek własności Tow. Do C. L. w Poznaniu odesłało Tow. 12 mk. i całą bibliotekę, która była przejrzana. W tym roku założyło Tow. skarbonę oszczędności dla członków. Z pism abonuje Tow.: „Pracę“, „Dziennik Berliński“, „Wzajemną pomoc“, „Posła do ludu“ i dla każdego członka organ związkowy „Robotnika Polskiego“. Do Zarządu na rok przyszły obrano następujących panów: J. J. Romałę przewodniczącym, J. Merdasińskiego zastępcą, J. Dylewskiego sekretarzem, L. Kosickiego, skarbnikiem, P. Kaniewskiego i F. Józefiaka rewizorami kasy, P. Kaniewskiego bibliotekarzem. Lokal Tow. znajduje się w Pilger Schänke przy ul. Heiligegrabstr.

Józef Dylewski, sekretarz.

Wincenty Lutosławski.

Listy robotnika polskiego.

II.

Pierwszy list Wolskiego wysłany do krakowskiego seminaryum narodowego wychowania podczas lata, nie został mi odesłany, i wskutek tego pozostał bez odpowiedzi. Niezrażony tem Wolski w dniu 14-ym września 1909 napisał drugi list, adresując go wprost do Warszawy, wskutek czego zaczęła się ożywiona między nami korespondencya. Niektóre ustępy z tego drugiego listu, odczytanego w redakcyi „Przeglądu Narodowego“ zostały wydrukowane we wrześniowym zeszycie tego pisma.

Treść i forma tego drugiego listu są uderzające, jeśli wziąć pod uwagę, że autor nigdy nie był w żadnej polskiej szkole, a z literatury polskiej dopiero w ostatnim roku poznał pisma trzech wieszczów — pod względem zaś narodowym głównie się wykształcił na pismach Chociszewskiego, ciągle zajęty pracą ciężką w fabrykach lub kopalniach. Oto ważniejsze ustępy z tego drugiego listu, po którym zaczęła się nasza korespondencya:

„Gdym otrzymał list od brata I. D., który mi doniósł, że ojciec się użala, iż nas tu jest już kilku, a tak mało mu znać o sobie dajemy, wtenczas bardzom się ucieszył, iż mam powód do pisania, i całe popołudnie przy pracy, pchając pięciocentnarową taczkę, miałem pełną głowę myśli różnych. Jedne po drugich przeskakiwały, nie bacząc na się, spychały się jak dzieci głupie, widząc u matki jedno jabłko, wszystkie się cisną, chcąc je otrzymać, nie wiedząc, iż dobra matka je wszystkie podług ich lat i o ile można równo podzieli. Jam także był rad, iż one te myśli moje, gdy potrzeba lecą, chociaż nie w porządku, lecz jednak lecą same.“

„Lecz gdym z fabryki przyszedł o szóstej wieczór do domu, stało się inaczej. Bo gdym zrzucił obleczenie, a raczej łachmany, które do pracy używam, i umyłem się, dowiedziałem się z ust mej żony, z którą przeszło rok jeden jestem żonaty, iż ma chęć dziś wieczór iść do sąsiada T. Ja naturalnie tem się ucieszyłem, lubiąc sam bardzo owego sąsiada, jako jednego z lepszych tu Polaków. Tembardziej miałem powód do uciechy, że przynajmniej dziś za zgodą żony będę mógł iść im czytać i jak mogę im sam wykładać. Mówię ci Ojcze: za zgodą żony, bo gdybyś ty znał tę ciemnotę u niewiast polskich! — o, jak nieraz są one mężowi na polu pracy narodowej kulą u nogi! Tak też to wieczne skarżenie się jej, iż tak często wychodzę, że prawie całą niedzielę musi sama w domu siedzieć, jest to już u mnie jakby zwyczajem. Lecz nie myśl czasem, iż ja się godzę na taki zwyczaj. O nie, on musi zniknąć, a na jego miejsce musi nastąpić poczucie obowiązku Polki i Polaka. Jednakowoż owego wieczoru pragnąłem jaknajściślej skorzystać z mego położenia. Poszliśmy tedy i wkrótce skierowałem rozmowę na położenie nasze robotnicze, na politykę niemiecką antypolską, na nędzę i ucisk naszego narodu. Jak mogłem schodziłem po wiekach jak po szczeblach coraz głębiej w naszą przeszłość i spuściłbym się może po wszystkikch, lecz tam w głębi ich jeszczem tej ciemności mym wzrokiem myśli nie zdołał przejrzeć, więc bałem się tam dalej jeszcze zajrzeć, by czasem nie módz wrócić napowrót!“

Wyobraźmy sobie tych robotników polskich w Niemczech zajętych takiemi rozmyślaniami i rozmowami, podczas kiedy towarzysze ich Niemcy piwo piją! A choć tak obrazowo pisać o tych rozmowach rzadko który z owych misyonarzy potrafi, to wielu jest, co towarzyszy zagrzewają do pracy duchowej, o której inni robotnicy prócz Polaków nawet wyobrażenia najmniejszego nie mają.

Wolski, zadowolony ze swego Dantejskiego porównania, pisze dalej:

„I tak, bo nie inaczej działać trzeba, chcąc rozżarzyć to, co się w piersiach ludu polskiego pali, i chcąc słabe jednostki rozpalić, które w sobie tej iskry nie mają — trzeba schodzić po wiekach jak po szczeblach i dojść aż do kolebki, gdzie się Polska rodziła, i potem rosnąć z nią i w niej i czuć ją w sobie i badać i chcieć widzieć i wiedzieć na co ona była, co zrobiła, jak się historyi przysłużyła — porównywując zarazem inne narody — czemu cierpi, a czemu duch jej szlachetnieje, czemu materyalnie niejako ulega, lecz duchowo zwycięża, czemu ją kochamy, czemu za nią tęsknimy, i czemu tej Ojczyzny pragniemy.“

„Tak rozmawialiśmy, więc nie trudno też z takiej rozmowy przyjść do czytania. I ja im czytałem Ojcze twe wykłady o powstaniach polskich z tomu II. — IV. czasopisma Elzów. Naturalnie, iż takie pełne rozumu, opartego na potędze Boga i swej sile słowa, muszą kruszyć myśli oparte na sile materyalnej u każdego Polaka, który jeszcze się nie wyparł Boga. Przeczytaliśmy całe. Kazali mi znowu przyjść jutro, lecz ja im przyrzekłem pojutrze, chcąc do ciebie Ojcze ten list pisać. Lecz nazajutrz znów inny sąsiad mnie prosił, by przyjść na wieczór. Ja znów pismo odkładam i idę posiedzieć sobie; tam znowu czytałem mu ciąg dalszy o powstaniach, (bom mu już raz jeden o nich czytał). W piątek znowu poszedłem do sąsiada F. Tam znów czytałem Mickiewicza orzedmowę do Pana Tadeusza: (Cóż tu będę dumał i t. d.) potem Dziady: Droga do Rosyi, i Widzenie ks. Piotra: Tyran wstał... i t. d. Tak znów wieczór przeszedł, a choć żona narzekała, iż tak późno przychodzę, (bo ona nie była zemną już raz drugi) ja cieszyłem się w duszy, iż tamte serca rozgrzać umiałem.“

„Ojcze, jak to ciężko jest mieć żonę, którą się kocha, ciemną i nieznającą celu Polski! Lecz dla mnie jest to szkołą niejako, bo przy niej nauczam się przeprowadzać mą wolę i ćwiczę energię, która mi się później może bardzo przydać. Bo ja widzę, iż ona, żona zawsze prosi, by być z nią, a te prośby na nic się nie zdadzą Ojczyźnie; ja wobec tych próśb me postanowienia zawsze przeprowadzam, a ona widząc to, coraz mniej ma takich błahych próśb. Więc Ojcze niech cię nie nudzi to moje tak bardzo możę szczegółowe opisywanie, lecz jakżeż mówić o rzeczach wielkich, pominąwszy okoliczności te, które istotnie te wielkie rzeczy wielkiemi uczyniły?“

„Więc napowrot do listu pisania. Teraz odłożyłem go na dzień następny. Gdym atoli rano wstał do pracy, nie mogłem się oblec, bo w gardle mi jakieś guzy przez noc urosły i uczułem ogromny ból głowy, oraz i słabość. Poszedłem do pracy, lecz musiałem napowrót przyjść do domu. Więc całą sobotę, niedzielę i wczoraj to jest

Z polowania w Wielkopolsce.



Fot. Wojciech Budasz z Czeszewa.
Jelenie ubite w lasach miłosławskich przez pp. Zbigniewa hr. Gorzeńskiego i Dziembowskiego.

poniedziałek dokuczało mi owe choróbsko, lecz dziś t. j. we wtorek, gdym się obudził rano, poczułem się zdrowszym, więc wstałem o 7-mej, i zasiadam do pisania tego listu. Chciałem ci zaraz pisać to, co ma myśl ranna na przestworzu, a oko na ziemi uchwyciło, lecz nie chciałem się tak wyrwać jak Filip z konopi. Więc chcąc ci pisać me myśli świeże urodzone w porannej godzinie, patrząc teraz na zegar widzę, żem już daleko ranka ubiegł, a raczej on mnie, (chociaż nie był tak wczesny), spróbuję zmusić mą wyobraźnię i pamięć, by odkopać to napowrót.“

„Tak wstawszy i umywszy się, mówię krótki pacierz przed obrazkiem serca Pana Jezusa, lecz krótki tylko, bo wstaję, otwieram okno mego mieszkania na trzeciem piętrze, i patrzę prosto na wschód w przestworza i widzę już przez grube chmury przebijające się słońce. Dawniej gdym jeszcze nie mógł tak odczuć Boga w przestworzach światowych, nie patrzyłem w nie tak często, a dłużej mógłem się modlić przed obrazami. Dziś już, klęcząc przed obrazem, czczę w nim jeszcze wielkość Boga ,lecz ta moja cześć nie może być już tak głęboką, bo wszak na obrazku to ręka artysty choćby wielkiego wypracowała to tylko, co czuła jego dusza. Więc na obrazach ukazują mi wielkość Boga takie same duchy jak ja, a choćby i o wiele wyższe były, to ja czczę w nich Boga zawsze i, gdy dusza ma nie zdolna się rozwinąć dalej poza formę świata widzialnego, wystarczy mi to. Gdy atoli która iskra mych myśli już raz zetknęła się z prądem nadprzyrodzonym, wtedy setki takich iskier już roznięcone lecą w światy nieznane, a czując wszędzie i we wszystkiem Boga, poznają Go lepiej, a potem już szeregi, myśli całe walą nieraz jak gromy po bryłach światowych, a poznawszy, iż one boskie są, wracają znów do mózgownicy mej, by odpocząć do dalszych wycieczek.“

„Tak tedy, utopiwszy wzrok mój w błękicie niebieskim, czuję w nim Boga, a takie czucie nie może być bez uwielbienia dla Stwórcy wszystkiego. Lecz cóż ci mam Ojcze te rzeczy opowiadać, kiedyż ty je lepiej znasz niż my prości ludzie. Twa myśl już stara, doświadczona, mądra, bo więcej widziała, ostrożna, bo może nieraz zawiedziona, mężna, bo nie tylko sama ze siebie, lecz i z doświadczenia że wszystko jest do osiągnięcia. Ma myśl jeszcze młoda, mieszkająca w człowieku, który taczką jeździ i łopatą pracuje, lecz jednakowoż chcąc poznać dobra najwyższe, znajdzie do tego drogę byle się tylko nie cofnęła, lub co gorsza nie wpadła w pychę. A po drodze ku tej idei najwyższej tak samo różne rzeczy obaczyć i drugim oznajmić może.“

„Bo przecież dużo jest dróg wiodących tam, a przecież nie po wszystkich, tylko każdy po jednej iść może!“

„Lecz wróćmy Ojcze do mego okienka pod dachem na trzeciem piętrze, zkąd ja myśli me jak orły puszczam na zdobycz w tamtą stronę, gdzie teraz słońce z za góry się wychyliło i między chmurami ciężkiemi ukrywa się znowu przedemną. Tam jest Wschód. Gdy oknem wyjrzę na świat boży, nie zważam nawet na to otoczenie i okolice, bo wiem, że nic mnie tu nie wiąże. Tam na wschód ja błyskam oczami, a myśli me szybsze są nawet niż błyskawice, pędzą jedna po drugiej tam — do tej Ojczyzny, Ojcze, i wracają napowrót i mówią mi tyle, żebym nie zdołał ci Ojcze tu tego wypisać tak prędko, więc zamykam to wszystko w jeden wyraz, i piszę ci, iż te wszystkie prace, zabiegi, ucisk, niewola, cierpliwość, wytrwałość i tyle innych zalet, gnębień i marzeń, wreszcie ta wiara, nadzieja i miłość, o których mi me myśli mówią, zamykam w jedno wielkie szlachetne i ogromne słowo — Ojczyzna.“

„Wiem Ojcze, że ci wystarczy ono słowo na moje tłumaczenie poco tam się lubię duszą przenosić. Ty ją lepiej znasz, lecz i ja ją kocham, bom się tam urodził; bom tam rósł, latał po ugorach, łąkach i borach wielkich sosnowych; bom tam słuchał i sam śpiewał piosneczki polskie, i tyle a tyle pamiątek z niej mam; lecz — co ważniejsza, bo widzę dziś i słyszę i czuję sam ten ciężar kajdan niewoli ciążący na niej; bo widzę lud i ludzkość gnębioną w niej, więc gdy tam patrzę, czuję się sobą, czuję, że trzeba żyć, nie umierać; bo czuję, że już niema wyboru i namysłu, już nie ma oglądania, czuję, że jeno jedno mam przed sobą: naprzód iść z tą ogromną wiarą w Boga i w siebie!“

„Tu przerwałem me pisanie. Teraz zaczynam znowu, lecz myślę sobie, iż ci tak piszę o tych rzeczach, a sam się nie tłomaczę kim jestem. Ja pisałem już jeden list, który dałem kursiście*) F. S., który, jak się dowiedziałem, ma być chory i jest w szpitalu; on miał nasze listy Ojcu posłać, ale nie wiem czy już to uczynił. Lecz mimo tego piszę ci Ojcze, iż nie tak dawno wstąpiłem w szeregi eleuzyńskie. Bo jak przejeżdżałeś zeszłego roku przez Belgię tom dopiero pierwszy raz słyszał od brata J. K. coś o tem. Więc z nowym Rokiem dopiero przystałem. Nie będę ci tu opisywał com już przez to osiągnął, bo to po części jest w tamtym liście, atoli mając coraz to większą nadzieję obcować chociaż przez pisane słowa Ojcze z tobą, pragnąłbym ci też opisać me życie.“

(Dokończenie nastąpi).

*) Kursistami nazywają się robotnicy, którzy się wykształcili na misyonarzy wychowania narodowego w krakowskiem seminaryum na ul. Batorego 1.

Cnota nie jest jestestwem biernem, jest siłą, a więc koniecznie winna być czynną.

Henryk Rzewuski.

* * *

Im więcej żyję, tem więcej tajemnic widzę przed sobą.

Józef Korzeniowski.

* * *

Nic tak człowieka nie hartuje, jako wyrzeczenie się choćby jednego błędu.

* * *

Na świecie trzeba żyć ze światem.

Karol Szajnocha.

* * *

Nie to, nie to mi rozum, co pięknie mówi, ale co mądrze czyni.

Fr. Karpiński.

* * *

W ciemności wszystko ciemne i groźne.

Ks. W. Kalinka.

Klasztor OO. Reformatów w Poznaniu.

Skreślił
Dr. Stanisław Karwowski.

4)

(Ciąg dalszy.)

Za jego gwardyaństwa w Poznaniu bardzo dużo osób wstąpiło do trzeciego zakonu ś. Franciszka, pomiędzy innymi Józef Myciński, proboszcz z Giecza, Hermenegild Sczaniecki, kanonik katedralny poznański, Karol Łaszczyński, pułkownik wojsk koronnych, Waleryan Lembicz, precentor katedralny, Stanisław Różycki, wikary brodnicki, Jan Hadowski, proboszcz kolegiaty ś. Mikołaja, Barbara Karśnicka, Katarzyna Maykowska, Franciszka Zagórska, Ewa Górecka, sędzicówna nakielska, Antonina Domagalska, *Elżbieta Starkowska*, mieszczka poznańska, wielka dobrodziejka klasztoru, powrócili zaś na łono kościoła katolickiego Jan Gwidziński z Brandenburgii, 26 letnia Eleonora Łaszczyńska z Wielkopolski, 19 letnia Anna Szmiligin i 16 letni Jan Metowski, oboje ze Skok.

W r. 1748, dnia 25 grudnia stracił klasztor syndyka swego i dobrodzieja *Macieja Koźmińskiego*, wojewodę kaliskiego, który, wysłuchawszy w tym dniu w kościele swarzędzkim (Swarzędz do niego należał) trzech mszy ś., po spowiedzi i komunii ś.; przyjmując w domu od syna Teodora i domowników powinszowania noworoczne, nagle, ruszony paraliżem, umarł.

Następca Borkowskiego *Jakób Suwaliński* (1749—1752), lektor ś. teologii, widząc rysujące się mimo ankrów mury kościoła, wzniósł skarpy od strony ogrodu, także rysujące się sklepienie kościoła wzmocnił, dachy zreparował i nowy wielki ołtarz z drzewa dębowego postawił za pomocą pani z Działyńskich 1° v. Szołdrskiej, 2° v. *Potulickiej*, starościny borzechowskiej, która dostarczyła mu drzewa dębowego z lasów kórnickich.

Następny gwardyan *Aloyzy Płachecki* (1752—1754), wzniósł sześć nowych ołtarzy i nową zakrystyą budować zaczął. Za niego zostali tercyarzami Felicyan Napruszewski, Joanna z Wodeckich Żółtowska, Barbara z Koszutskich Kołudzka, chorążyna bydgoska, Tomasz Jagrowski, regens kancelaryi biskupiej, z żoną Magdaleną z Trelewskich, Piotr Słucki, Michał Moraczewski, proboszcz łagiewnicki, Mateusz Kącki, prokurator spraw małżeńskich w oficyalacie gnieźnieńskim, i inni, złożyli zaś w kościele reformackim, nawróceni z luteranizmu, wyznanie wiary katolickiej Maciej Warchowski, chłop z Brandenburgii, wdowa Anna Marya z Murowanej Gośliny, Marcin Fryderyk z Saksonii, komedyant, Jan Jerzy Fritz, Katarzyna Szultzin, Jan Konitz z żoną z Kiszkowskich Olędrów, Baltazar Szoner, szewc z Kórnika, Wawrzyniec Horn, Chrystyan Menkie z Husarzewa, kowal, Katarzyna Pehlen z Brandenburgii, Daniel Moldenhauer i Jan Jerzy Rohr z Dittersdorfu na Śląsku. Przygotowywali ich do tego aktu Reformaci Jan Rowin, penitencyarz katedralny, i Feliks Strzybrski, lektor ś. teologii. Strzyhrski przygotował też pewnego żyda z Poznania, który uciekł do pałacu biskupa Teodora Czartoryskiego i chrztu zażądał. Ochrzcony został solennie w katedrze w obecności duchowieństwa i szlachty, przyczem biskup dał mu imię Teodor, a nazwisko Desau.

W tym czasie otrzymał klasztor na msze 28 dukatów za duszę Wojciecha Sczanieckiego, 738 złp. za duszę Tyburcego Ryniewskiego, 300 złp. za duszę Andrzeja Mołodeckiego, chorążego lubaczewskiego, i 17 dukatów za duszę Barbary Koszutskiej.

Następca Płacheckiego *Manswet Sikorski* (1755) bardzo zasłużył się około kościoła i klasztoru. Dokończył budowy zakrystyi, ołtarze ozdobił, nową ambonę, cztery konfesyonały, ławki i wiele nowych okien posprawiał, dzwon wielki przelać, w infirmeryi podłogę z cegły dać kazał, fundamenty kościoła wzmocnił, groby rozszerzył, kanał zreparował, wirydarz bukszpanem, szałwią, rutą, liliami i innemi roślinami obsadził, budowę nowego mielcucha rozpoczął, niektóre obrazy, pomiędzy tymi kasztelanowej Gocławskiej, przez przejezdnego malarza odnowić kazał.

Po śmierci braciszka *Stanisława Gampeya* (um. 30 kwietnia 1755), który z powołania był malarzem-artystą i kilka dobrych pozostawił po sobie obrazów, najął gwardyan do pomalowania ołtarzy malarza poznańskiego Graffa, ale gdy tenże za dwa ołtarze, ś. Kaźmierza i ś. Walentego, aż 6 dukatów sobie policzył, odprawił go gwardyan, a resztę robót w kościele i zakrystyi wykonał braciszek *Jan Guze*, który także rzeźbami ozdobił i polakierował kilka ławek i byłby więcej jeszcze zdziałał, gdyby go superior prowincyi ze wszystkimi instrumentami nie był posłał do klasztoru szamotulskiego.

Starczyło na wszystkie te roboty i pieniędzy i materyału, bo klasztor liczył wówczas wielu dobrodziei. *Teodor Koźmiński*, dziedzic Swarzędza, wojewodzic kaliski, syn syndyka apostolskiego Mocieja i sam syndyk, dał 1000 cegieł, *magistrat poznański* tyleż cegieł i wiertel wapna, *Jan Kierski*, sufragan poznański, piec wapna, *Franciszek Zygmuntowicz*, który chciał być pochowany u OO. Reformatów, ale po śmierci z powodu niezwykłego upału i szybkiego rozkładu ciała pochowany został u OO. Bernardynów, obok których mieszkał, 500 złp. Rozmaitymi zaś datkami wspierali klasztor *Józef hrabia z Werbna Pawłowski*, biskup niochineński i oficyał poznański, *Leon Koźmiński*, chorąży wschowski, z Czerniejewa, syndyk apostolski klasztoru (um. 1757), i żona jego *Jadwiga z Radomickich*, *Melchior Gurowski*, kasztelan poznański (um. 2 sierpnia 1756 r. w Goślinie), *Franciszek Wilkoński*, kasztelan krzywiński, i żona jego *Otylia z Skaławskich*, *Hieronim Poniński*, koniuszy koronny, i żona jego *Konstancya z Mycielskich*, *Maciej Poniński*, podstoli wschowski, z żoną, *Działyńska*, kasztelanowa lędzka, *Dorpowscy* z Dorpowa, *Ludwik Roszkowski* i żona jego *Barbara z Słuckich*, *Franciszek Poklatecki* i żona jego *Zofia z Turnów*, *Karol Łaszczyński* z żoną z *Myszkowskich*, *Franciszek Napruszewski*, *Zbyszewscy* z Mystek, *Wiktorya z Skaławskich Lipska*, kasztelanicowa łęczycka, z Kobylopola (um. 1784), *Stefan Skrzebowski*, kanonik i oficyał poznański, *Myszkowski*, dziekan poznański, *Mathy*, *Krall*, *Ignacy Zakrzewski*, *Korytowski*, *Bronikowski*, *Chłapowski*, *Sczaniecki*, *Rokossowski i Gliszczyński*, kanonicy poznańscy, *Iłowiecki*, opat lądzki, *Ludwika Koźmińska*, ksieni ołobocka, *Mikołaj Chlebowski*, kasztelan kaliski, (um. 1757), *Raczyńska*, żona prezydenta miasta Poznania, i *Potulicka z Działyńskich*, starościna borzechowska, z Kórnika. Potulicka jednak przestała wspierać klasztor, gdy z namowy pewnego gwardyana, ale nie poznańskiego, konfederaci zmusili jej poddanych do zwiezienia z dóbr jej kamieni do klasztoru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W przededniu wojny.

(Korespondencya własna).

Warszawa, 26-go grudnia.

Japonia szykuje się do nowej wojny z Rosyą — to fakt, nie ulegający dziś wątpliwości, a potwierdzony szeregiem konkretnych wiadomości z Dalekiego Wschodu. Do Warszawy raz po raz nadchodzą niewiadomo jaką drogą alarmujące wieści wojenne. Coraz częściej daje się słyszeć straszne słowo: wojna. Rzecz charakterystyczna, że nie wiemy nigdy, kto szepnął lub krzyknął to słowo, dochodzi ono do nas zawsze tylko jakby echo zkądś z dali: albo z bardzo odległego wschodu, albo z południa, czasami z zachodu. Ale pada już tak gęsto, że zaczyna sugestyonować, zaczyna wywoływać nastrój.

Jak twierdzą przyjeżdżający z Dalekiego Wschodu zbrojenia japońskie prowadzone są na wielką skalę i coraz jawniej. Zwłaszcza w Mandżuryi Japonia rozwija niesłychanie gorączkową działalność. Ajenci jej zdejmują fotografie, dokonywują pomiarów topograficznych, zakupują zboże i zawierają umowy o dostawę znacznych zapasów żywności. Na kolejach japońskich panuje olbrzymi ruch mobilizacyjny, liczne oddziały wojskowe przesuwane są coraz bliżej ku granicy rosyjskiej...

Wieść o tych zbrojeniach japońskich wywołała naturalnie w Rosyi wielką panikę. Prasa nacyonalistyczna uderzyła na alarm, w sferach biurokratyczno-wojskowych zakotłowało jak w ulu. Świadczy to, że widmo nowej wojny z Japonią spadło na Rosyę zupełnie niespodzianie. Tryumfująca nad „wrogami wewnętrznymi" i zajęta tępieniem „obcoplemieńców" reakcya rosyjska ku swemu przerażeniu nagle spostrzegła groźne widmo armii japońskiej, zabierającej się znów do pisania na krwawych polach mandżurskich — dalszego ciągu „konstytucyi" rosyjskiej... Spostrzegła właśnie w chwili, gdy zdawało się, że nadszedł już czas, kiedy będzie można zdeptać raz na zawsze nienawistne strzępki manifestu konstytucyjnego.

To też wiadomość o zbrojeniach japońskich wywołała wśród „istinnoruskich" zbawców Rosyi niesłychaną panikę.

Nacyonalizm rosyjski, zrodzony z koalicyi czynowniczo - czarnosecinej, wybujał obecnie do rozmiarów wprost potwornych. Zdeprawowana biurokracya rosyjska i reakcyjne męty społeczeństwa rosyjskiego teraz właśnie podały sobie ręce i wspólnie przystąpiły do realizacyi nacyonalistycznego programu rosyjskiego. Zbrodnicze represye w Król. Polskiem, projektowane oderwanie Chełmszczyzny, nowe ograniczenia na Litwie i Rusi, zamach na autonomię finlandzką, a wreszcie coraz jawniejszy **apetyt na... Galicyę** — oto „najbliższe zadania rosyjskiej polityki oficyalno - nacyonalistycznej."

I tym właśnie zakusom stanęła w poprzek groźba nowej wojny...

Oczywiście dyplomacya rosyjska czyni wszystko, aby odsunąć niebezpieczeństwo. Wyrazem tych usiłowań są rosyjskie oficyalne zapewnienia, że wojny nie będzie.

Pomimo jednak rozpaczliwych wprost wysiłków ze strony Rosyi, by odwlec wybuch wojny, nowe starcie na Dalekim Wschodzie jest nieuniknione. Już w chwili zawarcia pokoju Portsmouthskiego, było rzeczą oczywistą, że Japonii nie zadowolą te koncesye, jakie zdobyła. Zupełne odsunięcie Rosyi od oceanu spokojnego i wyrugowanie jej z Mandżuryi — oto konsekwentny cel polityki japońskiej.

Nadciągająca dziś burza zastaje Rosyę jeszcze mniej przygotowaną, i w daleko trudniejszej sytuacyi, niż przed 5 laty. Wtedy Rosya miała do czynienia tylko z Japonią, dziś obok Japonii staną niewątpliwie reformujące się i posiadające już nowoczesną armię Chiny. Bo nie ulega wątpliwości, że zaczepno-odporne przymierze japońsko-chińskie jest faktem dokonanym. Japonia zgodziła się nawet na znaczne ustępstwa na rzecz Chin, a uczyniła to niewątpliwie za cenę poparcia w przyszłej wojnie z Rosyą...

I teraz dopiero w całej jaskrawości okazuje się, że Rosya z ostatnich krwawych lat nietylko niczego się nie nauczyła, lecz przeciwnie, z coraz większą ślepotą zdąża do rozkładu i ostatecznego upadku.

Podczas ostatniej wojny na Dalekim-Wschodzie, Rosya cieszyła się przynajmniej dobremi stosunkami z innemi mocarstwami i mogła być spokojną o swe granice zachodnie. Dziś podstępna i obłudna poityka rosyjska doprowadziła również do ostrego zatargu z Austryą! Zamiast skupić się w usilnej pracy nad odrodzeniem wewnętrznem, Rosya swą agresywność, zahamowaną pod Mukdenem, skierowała na południe (Persya), na wschód bałkański i na zachód... I dziś stoi nie wobec jednego tylko przeciwnika, jak przed pięciu laty, lecz wobec groźby pogromu na wschodzie i na zachodzie...

Wielkie wrażenie wywołała w całej Warszawie wiadomość, pochodząca podobno z Wiednia ze strony bardzo poważnej, że wśród załóg austryackich widzieć można żywy ruch, a w arsenałach prowadzi się gorączkowa praca: kto z zobowiązanych w jakiejkolwiek formie do służby wojskowej nie otrzymał był przed zawieruchą serbską swego „przeznaczenia na przypadek wojny," otrzymuje je teraz.

Coraz częściej to ten, to ów batalion czy szwadron ma być **przenoszony z głębi monarchii do Galicyi, dokąd w ten sposób przesuwa się zwolna produkt ciężkości austryacko-węgierskiej siły zbrojnej.**

Bądź co bądź, nie ulega wątpliwości, że na wypadek starcia pomiędzy Rosyą a Austryą, **terenem wojny będą kraje polskie.** A ewentualność taka budzić musi w sercu każdego Polaka dziwne uczucia...

Oby jeno przyszłość nie przyniosła nam nowych rozczarowań.

Ch.

Straszna przemoc, co nas gnębi
Wie to dobrze — zbyt rozumna,
Że, gdy serce nam wyzięli,
Z uczuć naszych będzie trumna.

* * *

Nie tenci żeglarz, co płynie po wodzie,
Nie poruszonej nic wiatrem w pogodzie,
Ale kto wały, gdy biją najciężej
Wiosłem zwycięży.

* * *

Kto swej mowy nie szanuje,
Ten sam sobie wróg —
Własną duszę w więzy kuje,
Niszczy, co dał Bóg.

* * *

Ze wszystkich prawd społecznych najmniej podpada wątpliwości ta jedna, że rozwój oświaty prowadzi za sobą i rozwój moralności.

* * *

Można być wrogiem prawdy, ale obojętnym dla niej nikt być nie potrafi.

* * *

Ludzie wyznający zasady liberalne, są często jeszcze węższi od konserwatystów, natomiast zasady liberalne, same w sobie, są szersze od konserwatywnych i zgodniejsze z nauką Chrystusa.

* * *

Co to jest mądrość nasza, książkowa, w porównaniu z tą prostą mądrością prawego kobiecego serca.

* * *

Wy, wielcy, ludzie, jesteście pełni prostoty.

Z cyklu: „Słowicze pieśni”.

Wenecya.

Wenecyo! cudna kraino pamiątek,
Co złotem błyszczą twych kopuł świątynie,
Legendą wabi każdy twój zakątek,
Świetności dawnej przywodząc wspomnienie.
Ojczyzno słońca! co w porannym świcie,
Zaledwie pierwsze ukażą się zorze,
Kąpiesz się cała i wre w tobie życie,
A białe mewy wzlatują nad morze.
O jakże piękne twych niebios błękity,
Gdy je oblewa promień słońca złoty,
Perlistą rosą błyszczą gór twych szczyty,
Zdala dobiega pieśń pełna tęsknoty.
I płynie chyżo i na dół się chyli,
Zanim gdzieś w falach dźwięk ostatni skona,
I smutek dziwny, prawie w jednej chwili,,
Potęgą czarów chwyta cię w ramiona,
I z pewnym lękiem wpatrzony daleko,
Na morzu statków dostrzegasz szeregi,
Co prując fale unoszą się lekko,
By znów zawinąć ponad inne brzegi!
W powietrzu dzwonów rozbrzmiewają głosy,
Wzywając wiernych do modlitwy cichej,
W wspólnym oddźwięku gdzieś płyną w niebiosy,
By zamiast kary mazać wszystkie grzechy.
Kraino pieśni, poezyi, miłości!
O jakże pobyt tutaj — pożądany,
Jakżebym chciała złożyć moje kości,
Gdy śmierć raz skruszy te ziemskie kajdany.
Niechżeby tutaj me szczątki spoczęły,
A słowik śpiewał nad niemi hymn cichy,
Że życia mego marzenia pierzchnęły,
A grób mój zdobny w róż wonnych kielichy.
Kiedyś kwiat żółtej róży tak wielbiłam,
Ale zerwana — krótko dla mnie żyła,
A chociaż więdła z wolna — tak pieściłam —
Ona kolcami boleśnie raniła...
— I odtąd życie moje smutne było,
Straciłam wiarę, że szczęście istnieje,
Wenecyo! twe słońce tak mi świeciło,
Czemu tak zmienne są życia koleje?
Wrócę do ciebie znów po czar twój złoty,
Może jesienią, gdy liść spada z drzewa,
Ażeby wspomnień odnaleść klejnoty,
Posłuchać pieśni co gondolier śpiewa,
I w noc twą jasną na małej gondoli,
Popłynąć kędy fala niesie lekka,
Może swym szumem zagłuszy co boli,
Uciszy serce, co płacze, narzeka...
A może żółta róża zmartwychwstanie?
I znów ją tchnienie ożywi gorące,
Jakżeby słodkie było powitanie,
Niech ją, Wenecyo, twoje zbudzi słońce!
Niechaj twym żarem zadrży pierś stalowa,
Co w swojem wnętrzu walkę stacza z sobą,
Niech ją odmieni jutrzenka różowa,
Wpierw nim mą duszę okryję żałobą.
Wrócę do ciebie w twoich świątyń progi,
Chociaż po szczęścia mojego ruinie,
Gwiazdy mi świecić będą podczas drogi,
Fale kołysać po morskiej głębinie.
— Kocham cię kraju mozajki i sztuki,
Tam, gdzie gołębie, ziarno z ręki jedzą,
A, chociaż obce im ludzkie nauki,
Że miłość prawem o tem ci powiedzą!
I tak się tobie przymilać umieją,
I tak się wzbijać od ziemi do nieba,
I taką dziwną napełniać nadzieją,
Że je w pamięci swej zachować trzeba.
O kraju wiosny, ślę ci pozdrowienia,
Niech laur i mirty zielenią się, rosną,
A pragnień moich ziszczą się marzenia,
Byś mnie powitał swą pieśnią radosną,
Która dobiegnie aż na świata końce,
Jak hymn zwycięski po wygranej wojnie,
Uśmiechem witać będę twoje słońce,
Które swem ciepłem tak mnie darząc hojnie,
Chce zaprowadzić na rozkoszy szczyty,
Gdzie boleść nigdy dostępu nie miewa,
Gdzie miesiąc srebrny rojem gwiazd spowity,
Ozwie się do mnie: „Pozostań szczęśliwa“.
Śpiewam pieśń moją proroczemi słowy,
I tak w nią wierzę jak w dogmatu prawa,
Kraju uroczy! pozostań mi zdrowy,
Niech twych uroków w dal rozbrzmiewa sława!

Poznań, d. 20. lipca 1909.

Marja Paruszewska.

Szczęście ci niosę!

Szczęście ci niosę! — wyśniony kochanku,
Do twego domu, chociaż mi nieznany,
I choć twych progów nigdy nie przestąpię,
Bo taki wyrok zapadł niezbadany!
Szczęście posiewam — gdzie twa noga stanie —
Byś po kwietnej łące chodził kobiercu,
Droga moja ciemna i gwiazdy gasną...
Ból i żal tylko w mojem goszczą sercu!
Szczęście ci niosę! — każdym mym oddechem,
Osłaniam ciebie przed życiową pleśnią,
Do życia budzę twą duszę stroskaną,
Serdecznej nuty ożywiona pieśnią!
A chociaż dźwięczy i ciebie okala,
I falą pluska jako Renu złoto,
To jednak w szaty żałobne przybrana,
Bo życie całe... wieczystą tęsknotą!
Czasami słońce smutku ściera ślady,
Na chwilę promień mą duszę ozłoci,
Cóż? — kiedy głogi znów mi ręce ranią,
Napróżno śledzę za kwiatem paproci!
Szczęście ci niosę, moją pieśnią rzewną,
Jaką trubadur ongiś światu głosił,
Niechcąc nic w zamian od słuchaczy swoich —
Tylko o oddźwięk serdeczny ich prosił. —
A kiedy ludzi — głazów nie poruszył,
Bolesny uśmiech osiadł na oblicze
I w dalszą drogę skierował swe kroki,
Gdzie losy gnały kędyś tajemnicze...
Szczęście ci niosę! — na rok co się zbliża,
Aby twych pragnień godzina wybiła,
Jako twa siostra chcę radość podzielać —
O szczęście twoje będę się modliła!

Poznań, 24. 12. 09. *Marja Paruszewska.*

Z ojczystych stron.

Kościół Grobu Matki Boskiej w Kalwaryi Zebrzydowskiej w roku 1611 przez Zebrzydowskiego wystawiony.

Któż nie słyszał lub nie czytał o Kalwaryi Zebrzydowskiej koło Krakowa położonej oraz o 42 kaplicach i 7 kościołach po górach się wznoszących, a ściśle według wymiarów Jerozolim-



Kościół Grobu Matki Boskiej w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

skich przez wojewodę Mikołaja Zebrzydowskiego wystawionych. Kościół Grobu M. B. u stóp Góry Oliwnej na dolinie zwanej Jozafata którego podobiznę wyżej podajemy, należy do najpiękniejszych kościołów Kalwaryi, budowa tego kościoła z 17-go wieku artystycznie wykonana — jedyna w swoim rodzaju na ziemi polskiej. Kościół ten w roku 1611 wystawiony spoczywa na pilotach z drzewa dębowego — na bagnistej dolinie zwanej „Jozafata“ stanowi początek dróżek Matki Boskiej, które to dróżki lud pobożny corocznie z nabożeństwem obchodzi Tutaj widywał Zebrzydowski często ze swojego zamku na Lanckoronie wieczorną porą światełka migające się — dlatego powziął myśl na tem miejscu wystawić grób M. B. na podobieństwo grobu w Jerozolimie. Zdarzyło się w roku 1660, gdy już Kalwarya słynęła z cudów i łask Bożych w całej Polsce — że Prowincyał zakonu OO. Bernardynów O. Jacenty Stradomski jechał na wizytacyę klasztoru Kalwaryjskiego. Późną nocą przejeżdżał drogą z Lanckorony, koło kościoła Grobu M. B. — w tem widzi cały kościół oświetlony — zdziwił się mocno dla czego w nocy taka jasność od kościoła się odbija; stanąwszy na drodze idzie ze swoim sekretarzem do domku, przy którym mieszkał Braciszek zakonny dla strzeżenia Grobu M. B. — budzi go wołając, że w kościele się pali. — Braciszek otwiera kościół, a tu ciemno, bo jasność zniknęła — a że podobne zjawiska często się powtarzały — władza duchowna uznała to miejsce jako cudowne, a władza zakonna postanowiła, aby przy Grobie M. B. jako na miejscu uświęconem zjawiskami cudownemi mieszkał zawsze kapłan zakonny, któryby w tym kościele, na cześć Maryi nabożeństwo odprawiał przez śpiewanie godzinek i litanii do Matki Boskiej. Przy tym kościele Grobu Maryi kończy się 13-go sierpnia co roku późno w nocy sławna procesya i ceremonia pogrzebu Maryi wobec tysięcy ludu pobożnego — tutaj wiele chorych za przyczyną Maryi odzyskuje zdrowie, tutaj smutni bywają pocieszeni, nieszczęśliwi poratowa-



Wnętrze kościoła Grobu Matki Boskiej w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

ni — dlatego kościół ten należy do miejsc cudownych na Kalwaryi — a gdy Bóg pozwoli kościół ten będzie w roku 1911 obchodził 300 letni jubileusz swego założenia — klasztor Kalwaryjski zamierza z wiosną ten kościół Grobu Maryi na polskiej ziemi wystawiony na ten jubileusz nadchodzący gruntownie odnowić i wyrestaurować.

Nb. Wiadomości powyższe o tym kościele są zapisane w kronice klasztornej od założenia klasztoru prowadzonej i w książce z końcem 17-go wieku przez ks. Franciszka Dziełowskiego Bernardyna wydanej.

Ks. Stefan Podworski,
rezydent Grobu M. B. w Kalwaryi Zebrzydowskiej.

PRACA.

Póki się jest zdolnym do pracy, wątpić o sobie nikt nie powinien. Praca w pocie czoła, praca rozumna, świadoma celu, jest jakoby czarodziejską laską, co z niczego jednostki i społeczeństwa podnosi do znaczenia i siły.

My wiemy o tem wszyscy, ale prawda ta weszła niestety u nas na czczy frazes, taki ot sobie sposób mówienia, który się powtarza, żeby uchodzić za człowieka mądrego, postępowego, cnotliwego. Ale czyny nie idą za słowami. Że w żadnem społeczeństwie tyle się nie nawołuje publicznie do pracy, co u nas, pochodzi i stąd, że gdzieindziej pracowitość jest rzeczą tak dalece samą przez się rozumiejącą się, iż nikomu na myśl nie przychodzi prawić o tem w gazetach, odczytach, mowach i t. p.

U nas zaś jest w życiu więcej wypoczynku, rozmarzonego wczasu, czczych zajęć i czczej zabawy; stąd te „nudne“ dowodzenie i nawoływanie do pracy. Inne społeczeństwa pouczają się już tylko: **jak** pracować, my jeszcze wbijać sobie musimy w głowę, **że** pracować trzeba, jeśli w walce o byt podupaść nie mamy do reszty. Stąd i spowszednienie.

Prawda, że my temu nie winni, tylko ten porządek rzeczy nieszczęsny, który nas wychował i utrzymuje w ubezwładnieniu.

A może my nie zdolni do pracy? do bytu przez pracę?

Słyszy się to nie tylko od „najserdeczniejszych,“ niestety i u nas niekiedy umysły słabe, a zwątpiałe głoszą, żeśmy nie stworzeni do zabiegliwości, twórczości, przemyślności, która jest główną dźwignią t. zw. kultury — ży-

cia sztucznego, do którego się ludzkość uciekać musi coraz bardziej, im liczniejszą się staje.

Dawnoż to jeszcze, jak się słyszało poważne głosy przestrogi: pilnujcie gleby i roli, bo nie danem jest Polakowi w inny sposób zarobkować.

Jest to najfałszywsze zdanie i dzięki Bogu, coraz rzadziej się między nami odzywa.

Zresztą rzeczywistość zadaje kłam temu twierdzeniu. Jeżeli chodzi o ciężką pracę rąk, to przyznawają nam to — najnieżyczliwsi obcy, — że niema jak robotnik polski. — Gdyby dziś powstali w Europie Faraonowie — a chcieli budować piramidy, musieliby chyba Polaków do tej roboty nająć lub napędzać.

Ale jakże z pracą umysłową?

Tu oczywiście jest gorzej, wyznać to trzeba. Ale powodem tego nie jest nieudolność, lecz niepokój wiecznie nas trapiący i rozrywający naszą uwagę. A ten niepokój duszy nie jest wynikiem naszej niespokojności — jak niektórzy twierdzą, ale wynikiem niezależnych od nas okoliczności zewnętrznych, które wszyscy aż nadto dobrze znamy.

Niepokój ten jest dziś już drugą naszą naturą, jest nam nawet zinąd potrzebny i niezbędny, nie chcemy go rugować z duszy naszej — ale czas byłby, żebyśmy nad nim zapanowali.

Że to jest możebnem, dowodzą nam liczne przykłady, z których wynika, że przy należytej równowadze duszy, ludzie naszego plemienia sprostać mogą w pracy najzawołańszym pracownikom.

A przykłady te nie są odosobnione. Spojrzyjmy tylko na tych z pomiędzy nas, którzy niestety skazani są żyć na obczyźnie. Iluż to tam Polaków zatrudnionych w najtrudniejszych zawodach, a wszystkiemu sprostają. Trapi i onych niepokój i to w dwójnasób, ale obowiązek pracy i honor plemienny są — sterem ich dążeń. — Oni z powodzeniem naprawiają w obczyźnie, tę opinią złą, którą nam tamże ustalili, znikający — na szczęście coraz bardziej „hotelowi hrabiowie.“

Na cześć polskiej pracy powiedzieć to należy, że za granicą są przemysłowe zakłady, które w biurach swych już dziś dają nawet pierwszeństwo Polakom.



Sławna procesya przy pogrzebie Matki Boskiej na Kalwaryi Zebrzydowskiej.
(Patrz artykuł p. t. „Z ojczystych stron“.)

Lecz niech nas takie choćby najszczytniejsze pewniki nie unoszą do zarozumiałości. Mamy te same prawa do pracy i te same zdolności, a może większe, jak wielu innych — ale — pominąwszy to, co już powyżej powiedzieliśmy, jeszcze jesteśmy młodzi w pracy, jeszcze się do niej nie przyzwyczailiśmy, jeszcze nam nie przeszła w krew i w kości, w potrzebę, w żywot, w naturę.

Na to potrzeba czasu, ale i to prawda, że należy po trosze i od nas, żebyśmy czas ten skrócili.

Jak na dziś, to wszyscy, co myślą o przyszłości, powinni się starać przedewszystkiem o to, żeby w młodzież wpajać przekonanie, że na nic się oglądać nie powinna, ani na majątki, ani na sukcesye, ani na ożenki bogate, ani na księdza brata, ani na dziekana wuja, ani na jakiebądź szczęśliwe przypadki, jeno na to, czego się nauczy bądź na książce, bądź przy warsztacie, bądź za kramicą — bądź za pługiem.

Niech wiedzą za młodu, że życie nie jest snem i wygodą, lecz — walką ciężką o byt, że chcąc w tej walce sprostać, przedewszystkiem trzeba żyć, a zaś żeby żyć, trzeba samemu na życie zapracować.

Tak, tak! na ziele i chwasty z chmur wysokich i stropów niebieskich pada rosa i orzeźwienie, pada i ożywczy promień słoneczny; nam nic w darze nie spadnie, my za winy ojców i swoje, wszystko sami — jeżeli żyć chcemy — wyrobić, wypracować sobie musimy ciężko, w pocie czoła.

Prócz wiary w ostateczną sprawiedliwość Boską, już nam tylko pozostaje — praca — jako środek bytu, środek do życia, a w pierwszym rzędzie — wyżywienia.

Ani manna, ani kruki, jak to bywało jeszcze za czasu proroków, nas nie wyżywią, jeno naszych dziesięciu palców zręczność — a głowy skołatanej zabiegliwość.

Czcijmy tedy Boga i dary jego przyrodzone, czcijmy ojca i matkę, a potem czcijmy i pracę!! — nie czczemi słowy, ale czynem i wszelakiem dziełem, jako żywicielkę, bez której niema nijakiego życia na ziemi!

Ubodzy i żebracy mogą wejść do Królestwa niebieskiego; tu na ziemi... biada im!!... Jednostki żebracze kończą... w szpitalach,... dla — społeczeństw — i narodów żebraczych niema jeszcze szpitali, bo niema... miłosierdzia... i pewnie — nie będzie!

Dr. Stanisław Łabendziński.

Wykłady popularne.

I. A.

Skąd wiemy o przeszłości naszego narodu i kraju?

Każdy z nas, chcący się dowiedzieć o przeszłości Polski, zagląda do tak zwanej historyi lub opisu dziejów ziemi naszej ojczystej. Zazwyczaj czynimy to bezkrytycznie, to znaczy, nie oglądamy się za źródłami, skąd autor czerpał swoją wiedzę, tylko przyjmujemy zdarzenia historyczne tak, jak je nam historycy podają. Będzie jednak rzeczą pożądaną, zapytać się, skąd to uczeni obecni wiedzą o tem, co się działo przed tysiącem i więcej laty u nas? Na jakiej podstawie pisane są dzieła, noszące napis: Historya lub Dzieje Polski? Możliwości i sposobów, za pomocą których ważniejsze zdarzenia dziejowe przechować się mogą z pokolenia na pokolenie, jest głównie dwa: najzwyklejszą drogą ku temu jest opowiadanie ustne, drugi sposób jest piśmienny. Chociaż ostatnie jest ważniejszem od pierwszego, bo nie dopuszcza tak łatwo do rozbujania się zbyt wielkiego wyobraźni pisarza i powstrzymuje go od napisania zdarzeń nieprawdziwych lub niewiarogodnych, jednakowoż i pierwszy sposób przekazywania potomności pamięci o daw-

nych dziejach, tak zwana tradycya, lub ustne opowiadanie o dawnych zdarzeniach jest dla historyka cenną, o ile on nie przyjmuje ich bezkrytycznie, t. j. stara się o możliwe sprawdzenie zdarzeń mu podanych. W najdawniejszym czasie naszych dziejów ojczystych, przed rokiem 1000 po Chrystusie, a więc przed przyjęciem chrześcijaństwa w Polsce, nie było u nas żadnej cywilizacyi, to znaczy nie było bodaj nikogo, któryby umiał czytać lub pisać. Nawet najzamożniejsi i przewodnicy narodu, książęta, kniaziowie i kapłani pogańscy, nie mieli ani ochoty, ani sposobności nauczenia się tej wiedzy. Cała więc nasza wiadomość o czasach przedchrześcijańskich naszego narodu ma źródło swe w ustnem opowiadaniu, później znacznie dopiero spisanem, i nie może na żaden sposób być uważaną za zupełnie pewną. Przeciwnie, opowiadanie takie o Lechu, Czechu i Rusie, o Popielu, Piaście i inne, trzeba postawić do rzędu bajek, chociaż niewątpliwie coś w tych opisach, jakiś rdzeń, którego dziś już dociec nie możemy, musiał odpowiadać rzeczywistym zdarzeniom. Jest ono o tyle prawdopodobniejsze, o ile znajduje się opisanem w książce jednego z niemieckich ówczesnych dziejopisarzy, zajmujących się zachodnią Słowieńszczyzną, specyalnie Polską, a znamy takich historyków głównie dwóch, Otto bamberski, i Dytmar merzeburski. W Polsce samej zaczęto pisać dopiero z wprowadzeniem razem z chrześcijaństwem i zakonów do kraju, głównie Cystersów i Benedyktynów, którzy to zakonnicy (przeważnie Włosi) do tego stopnia byli wykształceni, że z jednej strony i sami czytać i pisać umieli i szkoły w Polsce utrzymywali, jak i z drugiej strony byli w stanie opisywać najważniejsze w kraju zdarzenia porządkiem chronologicznym, to znaczy według lat. Na takich to dopiero rocznikach lub „latopisach“ — po łacinie pisanych — opierają się późniejsi „kronikarze“, zestawiający poszczególne okresy dziejów naszych. Słynniejszymi z kronikarzy w Polsce są: Marcin Gallus, Janko z Czarnkowa, a nadewszystko Wincenty Kadłubek, żyjący w 13-tem stuleciu. Z późniejszych trzeba zaznaczyć: Michała Kromera i Miechowity. W 15-tem stuleciu zjawia się jednak dopiero w Polsce pierwszy większy, właściwy historyk, Jan Długosz (żył od r. 1415 do r. 1480), nauczyciel synów króla Kazimierza Jagiellończyka. On jest twórcą pierwszej obszernej historyi Polski, napisanej w języku łacińskim pod napisem: Historia polonica i Lites et res gestae. Lecz i on i jego następcy (Stryjkowski, Hejdenstejn, cznie“, to jest, nie badali dostatecznie źródeł kronikarskich tak, aby podawać tylko pewne zdarzenia, i nie podawali, co równie ważne, opisu dziejów polskich z pewnego wyższego punktu widzenia, w zamiarze podania całokształtu i rozwoju wewnętrznego stosunków kraju. Znajdujemy więc u nich jeszcze powtarzane obszernie bajki o Lechu i Krakusie, Piaście i Popielu, jako i z późniejszych czasów luźno tylko ze sobą powiązane fakta, często mało wiarogodne, mało przyczyniające się do scharakteryzowania właściwego ówczesnego stanu kraju. Dopiero 18-ty wiek przyniósł nam pierwszego historyka w całem znaczeniu tego słowa, był nim biskup Adam Naruszewicz (żył od roku 1733 do 1796). On w dziele swem: Historya narodu polskiego, i późniejsi: Lelewel, Szajnocha i Bartoszewicz dali historykom naszym przykład i wskazali drogę, jaką postępować trzeba dla wyświetlenia wewnętrznych dziejów naszego narodu.

Z życia kolonii polskiej
w Monachium.

Studya, jakiekolwiekby one były, same przez się nie wyczerpują całej treści życia kolonii. Życie to poza osobistem, indywidualnem bytowaniem osobników posiada jeszcze swe wewnętrzne, ogólne formy. Tow. studentów Polaków i „Polonia,“ ich biblioteki i wspólna czytelnia, to jedna strona wewnętrznego życia, to strona, która łączy rozsianych na obczyźnie Polaków-studentów z ośrodkami kulturalnego i narodowego życia kraju. Zabawa, sport, życie towarzyskie, jednem słowem ta „czcigodna reszta“ pozostawały na łasce prywatnej inicyatywy. Na jednem z ostatnich zebrań T. St. Pol. po dokładnem omówieniu potrzeby rozwoju towarzyskich stosunków, postanowiono wreszcie przejść od teoryi do praktycznego jej przeprowadzenia. Nadspodziewanie udało się wszystko doskonale. Wybrana *ad hoc* komisya, w osobach pp. Zaleskiego i Frylinga sprowadziła pianino, uporządkowała lokal towarzystwa, zaprosiła miejscowych kolegów i koleżanki do udziału w programie i rozpoczęła „urzędowanie.“ Zebranie zagaił bardzo ładnie opracowanym referatem o „Nocy listopadowej“ p. J. Fryling. Unikając własnych określeń i zwrotów, umiejętnie dobranymi cytatami Wyspiańskiego przebiegał akcyę, jak po strunach jakiejś olbrzymiej, mistycznej melodyi, odtwarzał w skróceniu obrazy, malował je jaskrawymi, witrażowymi konturami, by w końcu, ciągle cytując Wyspiańskiego, schmurzyć widnokrąg i, tem silniej ukazać gdzieś w oddali „jutrzenkę swobody.“ Jedyną wadą referatu p. Frylinga były przydługie nieco cytaty, zamącające w kilku zresztą miejscach wyrazistość tła, lecz ta usterka nagrodzona była piękną całością, pełną odczucia i zrozumienia.

Po odczycie p. Frylinga odegrał p. R. Hanasz na skrzypcach własne kompozycye i dał się poznać zebranym jako twórca szczerych, pełnych uczucia melodyj i jako zdolny wykonawca. Największe zajęcie w części muzycznej obudził młody kompozytor p. A. Skarzyński, odtworzeniem na fortepianie nie dawno wydanej, przepięknej swojej kompozycyi „Rêverie rose.“ P. S. Trojanowski silnym i pięknym głosem odśpiewał cały szereg pieśni, a do zupełnej całości artystycznej przyczyniła się niezwykle subtelnym akompaniamentem p. Marya Małachowska. W części deklamacyjnej wystąpił p. St. Suszczyński, wygłaszając z głębokiem zrozumieniem i odczuciem fragment z „Kordjana“ i p. Lech-Suchowiak, który zapoznał zebranych z całym szeregiem własnych utworów. P. Lech Suchowiak, wychowany w twardej, poznańskiej szkole, wnosi do bezwolnej i mdłej tak często poezyi lat ostatnich tony silne i stanowcze. Posiadając język bardzo już wyrobiony i skrystalizowane poglądy artystyczne, każe być bezwarunkowo pewnym, iż nie będzie jednym z wielu, ieno zostanie w piśmiennictwie jako twórca dzieł nowych i żywotnych. Wieczór zakończył serdecznem przemówieniem p. Z. Chmielewski, wyrażając nadzieję, iż stanie się on pierwszym krokiem do ścisłego zjednoczenia Polonii monachijskiej.

K. S.



Wymiatanie rocznych brudów.

Znienawidzony naród.

W „Deutsche Rundschau“ ukazał się ciekawy artykuł prof. historyi kultury, Jerzego Steinhausena. Autor roztrząsa zagadnienie, dlaczego Niemcy są tak znienawidzeni przez inne narody od wielu już wieków. Zdaniem prof. Steinhausena powodem do tego są fałszywe rzekomo poglądy na Niemców, które utrwaliły się wśród wszystkich narodów.

W dalszym ciągu artykułu przytacza on te poglądy i pisze:

„Rzymianie, potężni władcy świata starożytnego, odnosili się do szczepów germańskich z pogardą, widząc w nich dzikich, nieokrzesanych barbarzyńców, którzy przedstawiali zawsze niebezpieczeństwo dla kultury i cywilizacyi państwa rzymskiego. Ta opinia rzymska pozostała decydującą na następne wieki, tak, iż w XII w. w Anglii uchodzili Niemcy za stek wszelkiego barbarzyństwa, za wyraz nie okrzesanej dzikości i połączonej z tem skłonności do najbezwzględniejszego okrucieństwa.

Nie inaczej wyrażają się w średnich wiekach o Niemcach Włosi. Współczesny pisarz niemiecki zapisuje z boleścią: *„Choćby Niemcy zdobyli nawet ziemię świętą, to i tak nie pozbędą się nienawiści włoskiej, owszem Włosi ich tem bardziej będą nienawidzili, życząc szczęścia raczej poganom.“*

Francuzi od najwcześniejszych czasów mają sposobność stykać się z Niemcami. Ale i tu daremnie szukałbyś lepszego wyobrażenia o ludziach i kraju niemieckim. Cywilizowany Francuz wzdryga się przed brakiem wszelkiej kultury w Niemczech; na określenie mieszkańców kraju ma wyraz jeden „ludzie ograniczeni“, przyczem jako typ człowieka głupkowatego pisze: „Kogo jak kogo, ale Niemców nie mógłbym znieść ani z nimi stykać się; bełkotanie ich jest mi wstrętnem.“

Nadzwyczajny rozwój kulturalny Włoch w epoce renesansu jeszcze bardziej uwydatnił barbarzyństwo ówczesnych Niemiec i utwierdził dogmat o dzikości niemieckiej. Niektórzy francuscy i włoscy humaniści wyrażają się wprawdzie z pochwałami dla tego lub owego miasta niemieckiego, całość kraju przedstawia im się jednak, jako barbarzyńska.. Dzięki temu w modę też wchodzi dworować sobie z hyperbarbaryi północnej, robić ją przedmiotem szyderstw i wykwintnego dowcipu humanistycznego. — I tak o Niemcach pisze pisarz włoski Poggio: „I to mają być ludzie! Mili bogowie, spojrzcie na te ospałe głupie, rechocące stworzenia, które Bóg i człowiek musi znienawidzieć“. Jeszcze gorzej wyraża się Giantonio Campana: „Wszyscy ludzie w Niemczech śmierdzą, to też niedobrze się mi robi, gdy tylko ktoś wspomni o Niemczech.“

Zarzutem, najbardziej podnoszonym przeciw Niemcom, był zarzut pijaństwa, któremu się Niemcy oddają. W XVII wieku przechodzi przewodnictwo kulturalne Europy z Włoch do Francyi, a i to nie zmienia opinii zagranicy o Niemcach, nie znamionuje żadnej w tym kierunku poprawy. Owszem, Francuzi zaostrzają swój przysłowiowy dowcip, ilekroć mowa tylko o Niemcach. Przestarzałe zwyczaje w małych książęcych dworach niemieckich, śmieszna ich etykieta, nieskończone biesiady i uczty, przy których objawiał się apetyt zwierzęcy, a zdolność do pochłaniania trunków niewyczerpana, nieokrzesaność towarzyskich zwyczajów, niezgrabne zachowanie się niemieckich księżniczek, wszystko to przedstawiało prawdziwą skarbnicę dla nigdy niezaspokojonego szyderstwa i dowcipu francuskiego. Niemiecka kultura wydawała się Francuzom niewystarczająca, gdyż — pominąwszy już brak towarzyskiego wychowania — brakło jej „umiejętności pięknych,“ wszystkiego tego co działać mogłoby na francuski wysubtelniony zmysł piękna.

Byli też wprawdzie w tych wszystkich czasach ludzie, którzy odnosili się inaczej do Niemców, którzy widzieli u nich także dobre strony, lecz były to tylko wyjątki. Ogół opinii zagranicznej był dla Niemców bardzo niepochlebny, jak dowodzą te rozmaite głosy, które tak skrzętnie prof. Steinhausen pozbierał.

Szkoda, że autor nie zastanowił się, dla czego i dzisiejsi Niemcy nie cieszą się sympatyą innych narodów. Gdyby bowiem traktował rzecz bezstronnie, musiałby przyznać, że nienawiść ta została spowodowana wadami narodowemi, spotęgowanemi jeszcze przez wpływ kultury pruskiej.

Słuszność miał jeden z niemieckich poetów, kiedy pisał niedawno w jednym z swoich utworów, że Niemcy mają wszędzie wrogów i są ogólnie znienawidzeni:

„Heut, von zwanzig Jahre langem
Traum erwachend,
Blicken wir wie Bettler in die Welt,
Nirgends Freunde? Und von allen Enden lachend
Kommt der Hass,
Der uns die Antwort gellt.“

(Ocknąwszy się dzisiaj ze snu dwudziestoletniego, spoglądamy na świat, jak żebracy. Nie mamy przyjaciół? A zewsząd wyziera nienawiść, która jest nam jedyną odpowiedzią).

Co człowiek wytrzymać może.

Bajeczne, co człowiek podług często używanych frazesów, znieść i wytrzymać może!

I tak może człowiek „łamać sobie nad czemś głowę“, albo ją nawet „zupełnie stracić“, może mieć „głowę zagwożdżoną“ lub „otwartą,“ „może mieć „robaki w mózgu“ lub „mózgownicę pustą,“ może mieć „ptaszka w głowie,“ a mimo to żyć!

Nie czujemy nigdy, że brak nam w głowie „piątej klepki“, że mamy jedną za wiele lub za mało, albo że nam się w głowie „śrubka rozluźniła,“ inni zaś natychmiast poznawają to i śmieją się z nas. Można „wylecieć z skóry“ i żyć!

Nie zmieniając wcale swej powierzchowności, „rzucamy okiem lub oczami,“ obdarzamy kogoś swą ręką.“ Kręcimy często nosem, spuszczamy go na kwintę lub zadzieramy go do góry, wścibiamy go w nieswoje rzeczy i co najgorsza — miewamy muchy w nosie! Są fakty „bijące w oczy,“ i są ludzie, którzy sobie bardzo często „nogi uchadzają,“ albo którym „nogi w ziemię wrastają.“ Ludzie żyją, chociaż ktoś rzuca na nich „piorunujące lub przeszywające spojrzenia,“ i chociaż im „serce pęka“ lub „serce ich jest złamane.“ Żyjemy spokojnie dalej, chociaż „zaśmiewamy się na śmierć lub do rozpuku,“ chociaż „oddajemy komuś serce,“ lub „mamy je na dłoni!“

Najnieprzyjemniejszem jednak jest to, gdy się za późno dowiadujemy, że „sparzyliśmy sobie język“ i że nam ktoś „palce przyskrzynił!“ Wtedy można rzeczywiście wylecieć z skóry, a jednak — pomimo wszystko — żyjemy dalej i...., postanawiamy, z powodu niebezpieczeństwa oparzenia — „trzymać język za zębami!“

Łatwiej na świecie o filozofię niż o dobrą radę.



Zgłodniała rzesza.

Trzeba mieć szczęście!

Człowiek musi być pięknym i musi mieć szczęście. Proszę posłuchać, o czem dziś w Pera mówią:

Pewna ładna, jasnowłosa Holenderka postanowiła niezłomnie wyjść za Turka. Myśl to wcale nie holenderska, Amerykanki miewają pono czasem takie fantazye i nawet Rosyanki skłaniają się raz po raz ku takim wybrykom, ale Holenderki... Nawet mieszkanki Berlina nie zajmują się już Turkami i to od chwili, w której ich „pozdrowienia“, przesłane na ładnych pocztówkach, znalazły oddźwięk w sercach kędzierżawych Negrów.

Młoda dziewczyna z Amsterdamu stanęła w geografii swego serca w państwie szacha. Może to wina Piotra Loti i jego wzruszającej Aziyadé, albo Klaudiusza Farréres i jego zajmującego Mehmeda-Paszy. W każdym razie są Turcy dziś le dernier cri, i w Amsterdamie nie ma ludzi tak zacofanych jak w Harlemie lub Utrechcie.

Owa ładna Holenderka nie była jednak wcale młodą, gdy przed kilku tygodniami przestąpiła po raz pierwszy granice ziemi obiecanej, i przeznaczonem jej było, że dopiero po skończonej trzydziestce mają się urzeczywistnić marzenia pensyonarskie. Powodem tego był ojciec, trzeźwy, dzielny mynheer, który uważał sobie za obowiązek zebrać najpierw dwanaście milionów franków i potem dopiero pożegnać się na zawsze z jedyną córką, jej kaprysami i tym światem.

Złota rybka przepędziła rok żałoby w Amsterdamie, a że nie ma pewnie blondynki, której nie byłoby do twarzy w żałobie i kieszeni, napełnionej dwunastu milionami, przeto trudno odgadnąć, gdzie młodzież amsterdamska miała oczy! Lub może też nie potrafił nikt zwyciężyć urojonego Turka?

W każdym razie przybyła Holenderka pewnego pięknego dnia do Konstantynopola — sama. Wiedziała dobrze, że jej pragnienie i dążenia nie potrzebują kobiecej opieki, wynajęła sobie natomiast drogomana, i wybrała się z nim na zwiedzanie miasta. Że przytem drugiego już dnia znalazła się w blizkości koszar Selimje, było zasługą dragomana, który nie uważał za potrzebne nudzić ją zbyt długiem oglądaniem sarkofagu Aleksandra.

Ale dragoman ten wcale nie był dyskretnym — inaczej nie byłby się nikt dowiedział, że ładna Holenderka znalazła pomiędzy Skutari a Haidar-Pasza, niedaleko olbrzymiego gmachu, który Selim wielki poświęcił regeneracyi tureckiej piechoty, wcielenie swego ideału w wytwornym tureckim oficerze. I z energią, oddziedziczoną po ojcu, zabrała się zaraz do ataku. Oficer jednak, nie znający oczywiście jeszcze takiej energii, był tak zdumiony, że zapytał dragomana, kto jest ta „Amerykanka“, która go tak „niespodziewanie i niezasłużenie“, zaszczyca swemi względami. Odpowiedź dragomana wypadła nadzwyczaj zadawalająco, i w przeciągu kilku minut poznał oficer, że „kismet“ bardzo mu jest przychylny. Potrafił też kuć żelazo, póki gorące, i zaślubi wkrótce — dwanaście milionów! Narzeczeni udali się już do Amsterdamu, po odbyciu całego szeregu obiadów i kolacyj w wspaniałym hotelu Palace, a zdrowie ich dla tego tylko żadnego nie poniosło stąd szwanku, że narzeczeni i zakochani zwykle apetytu nie mają.

Niektórzy byli przekonani, że historya zakończy się adresem firmy, która młodej parze dostarczy urządzenia mieszkania. Ale nie jest to żadną reklamą — całe zdarzenie jest najprawdziwszą prawdą, pomimo, że ręczy za nią sześć mieszkanek Pery, jeden Armeńczyk i dragoman.

Ponieważ zaś młody Turek nie włada żadnym europejskim językiem, a jasnowłosa Holenderka nie umie po turecku, przeto młoda para nie będzie się mogła obejść bez dragomana, spodziewać się tylko należy, że ów tłumacz dość będzie posiadał polotu ducha i delikatności uczucia, aby podołać swemu, nadzwyczaj trudnemu zadaniu! Proszę go sobie wyobrazić w „Orienteksprésie“, siedzącego pomiędzy tureckim oficerem i jasnowłosą Holenderką. Ona mu szepcze do ucha w języku Multatuliego to, co syn Osmana pragnie tak gorąco usłyszeć w gardłowych dźwiękach swej mowy ojczystej, on zaś powierza pośrednikowi wszystkie te słodkie wyrazy miłości, jakich używali śpiewacy Anatolii, a jakich nawet dragoman tak prędko przetłumaczyć nie umie, jakby sobie tego Holenderka życzyła.

Wieczorem, po zachodzie słońca, może sobie tłumacz podwójną liczyć taksę, ale pomimo to — lekkim nie jest zarobek dragomana, siedzącego tam w Orientekspressie.

Jeżeli temat ten miałby zachwycić jakiego komedyopisarza, to mógłby go bezpiecznie użyć bez wszelkiej żeny. Należy się tylko życzyć jasnowłosej Holenderce, aby nie doznała rozczarowania, oficerowi zaś, aby się nie angażował dwunastu milionami w tureckich sprawach koncesyjnych...



Sroga zima.

Wydawnictwo jubileuszowe.

„Ziemianin“, pismo rolnicze, organ Centr. Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Pozn., z powodu 60 letniego jubileuszu istnienia swego, wydał dzieło jubileuszowe, zawierające historyę założenia i rozwoju tegoż pisma. Dzieło to ozdobnie wykonane i opatrzone wieloma rycinami otrzymają nowi abonenci bezpłatnie. Cena księgarska wynosi 2,20 mk. z przesyłką. „Ziemianin“ wraz z dodatkami: „Przegląd Gorzelniczy“ i „Leśnik“, kosztuje kwartalnie 3,00 mk. Dla niezamożnych po 1,90 mk.

Mniej jest szkodliwy impet jawny, niż złość ukryta.

Niewinne często słowa są przyczyną wielkich kłopotów.

Lepiej żyć krótko jako płomię, niż trwać długo jako kamień lub bagnisko.



Cezar Fracassini.

Śmierć św. Szczepana.

Album „Pracy“.

Drukiem „Pracy“.



Trzej Królowie składają dary Dzieciątku Jezus.

Kazimierz Kalinowski.

W Noc Noworoczną.

Gawęda ludowa.

Wiatr wył, jak głodne wilki. Słota zrobiła się tak straszna, że litość brała psa zostawić na dworze... A tu i zimno było okrutnie... Jakże jednak mogło być inaczej w noc Sylwestrową wśród ciemnego lasu.

Właśnie kury z wioski pobliskiej wykrzykiwały kolejno godzinę północną, gdy w najgęstszym kącie boru naraz zachichotało coś przeraźliwiej od głosu puszczyka. To Kusy wyskoczył z koniuszka gałęzi jodłowej. Otrząsnął się parę razy, jakby po święconej wodzie, poczem z szyszki zrobiwszy sobie szczotkę, jął czyścić porządnie z błota trzewiczki swoje i zaszarpany fraczek... Wprawdzie się za to na biesa obruszyły nieco sąsiednie grabiny, że im po nocy nie daje spokoju, przeszkadzając w drzemce; ale rychło marudzić przestały, usłyszawszy w odpowiedzi, że to na Nowy Rok dyabeł musi się tak szykować, więc uwzględnić trzeba wyjątkową okoliczność: nie codzień przecież takie, jak dziś, święto...

A kiedy wreszcie był już gotów, poskoczył Kusy w zarośla, gdzie, odgarnąwszy suche krzaki, zabrał się do kopania łopatą, zrobioną z bukowego kija. Nie doliczyłbyś do dziesięciu, gdy już w krzakach skarb błysnął z pod ziemi. Same dukaty, same talary, nieprzebrane, niezliczone... Aż się czartowi ślepia zaiskrzyły. Więc sobie rzecze, mlaskając ozorem:

— Jest tego, jest, jak piasku!... A skoro dziś noc Noworoczna, toć się obmyję w tem złocie i srebrze, żeby mi się przez cały rok powodziło...

I zgiąwszy się we dwoje, zanurzył ręce w błyszczącem bogactwie aż po same łokcie, udając, że się myje — niby wodą w kadzi.

Wtem odskoczył od krzaków i bacznie ucha nastawił, bo mu się przesłyszało, iż opodal ktoś drzewo rznie piłą...

— Coby to być mogło... Chyba, że mi się tylko zdawało. A może to już dziedzic nadchodzi do zakopanego skarbu...

Znowu słuchał; aż nagle dał w bok susa pod olbrzymią, starą sosnę, w której to pniu grubym właśnie coś skrzypiało.

— A bodaj cię drzwi w piekle ścisnęły! — zaklął dyabeł przez zęby, ujrzawszy śmierć, która swą kosą z wszystkich stron podcinała pień sosny.

— Witam cię, drogi kumie Kusy — zawołała ona ku niemu, nie przerywając sobie roboty — lecz widzę, że się wcale nie cieszysz z naszego spotkania, nieprawdaż?

— Mościewy, nie inaczej, kochana kumo Kostusiu!... Że też aśćkę licho tu naniosło akuratnie dzisiaj... Obmyłem się co dopiero w złocie i srebrze, i już kontent jestem, iż będę miał całe latko jaknajszczęśliwsze... Myślę sobie tedy, żeby to tylko jeszcze od najwcześniejszego ranka pierwszą spotkaną osobą nie był kto inny, jak młoda i ładna jaka dziewoja, a pewnikiem dobrze się nowy rok zacznie; — gdy mi tu, jakby na złość, Lucyper nasłał starą babę, wiedźmię przebrzydłą!... Wybacz mi, kumciu, moją szczerość, lecz chyba swych spróchniałych kosteczek nie liczysz już do młodych.

— Nie gniewaj się, Kusy, poprawię się na przyszły Nowy Rok.

— Ale na kogo to, Kostusiu, gotujesz tę zasadzkę?

— A w czyjem złocie myłeś się przed chwilą?

— Jakto, kumciu, już mi chcesz zabrać nowego dziedzica, to dla mnie za wcześnie, a wszak ci on mój! Pofolgujno mu jeszcze parę latek...

— Nie mogę, nie! Właśnie na dziś jestem tu przysłaną, żeby nie dopuścić obrazy Boskiej...

— Jakiej to, jeśli wiedzieć wolno?

— Chce, uważasz, dziedzic ów dać trochę złota na budowę kościoła, a Pan Bóg tego przyjąć nie może, bo pieniądze...

— Wiem, wiem, pochodzą z lichwy.

— A jakże... i z innych nieczystych sprawek, przy twojej pomocy, mój kumie Kusy.

— Więc chcąc temu przeszkodzić, droga Kostusiu, zwalisz dziś na niego, wśród nocy, starą sosnę, gdy dziedzic będzie grzebał w złocie.

— Nie inaczej. Rano zaś przejeżdżać tędy będą główne jego ofiary, dzieci nieboszczyka dziedzica dawnego...

— Którego ten dzisiejszy bez wielkiego trudu wykurzył z dworu...

— Twoja to też sprawka.. Więc przynajmniej dziś, w nagrodę tylu nie-

szczęść, biedacy ci znajdą przy trupie dość dukatów, które mają prawo zabrać, bo do nich ono złoto należeć powinno...

— Gadu, gadu, moja babciu, a to na gadaniu nie może się skończyć. Zróbmy interes. Targ w targ, sprawę tak załatwimy: Ja tu dziś porozmawiam z moim dziedzicem... Jeśli on będzie ze mną szczerym, wtedy ustąpię go tobie zupełnie, bierz go sobie, Kostusiu; jeżeli się zaś nieszczerym okaże, nie dam ci go jeszcze w tym roku! Rozumiesz, idzie o szczerość.

— Nie mogę, kumie, wchodzić w takie zakłady, bo dziś mam rozkaz wyraźny i muszę go wypełnić.

— Ale, co tam rozkaz!...

Wtem odgłosy blizkich kroków przerwały im targi. Śmierć schowała się za sosnę, a dyabeł, wziąwszy na siebie postać jednego z sąsiadów dziedzica, który właśnie nadchodził, zaszedł mu drogę. Od razu wdali się obaj w żywą rozmowę, wśród której dziedzić bardzo tłomaczył się, iż dlatego nocą włóczy się po lesie, bo chce wytropić złodziei, wykradających drzewo. Sąsiad zaś zmyślił na poczekaniu, bajeczkę, jakto w drodze do domu padł ofiarą rabusiów, którzy ograbiwszy go z koni i bryczki, ledwie żywym puścili...

— Jakże się tedy cieszę, przezacny sąsiedzie — rzekł mu dziedzic — iż spotykam cię w tej, przykrej dla ciebie chwili, po tak fatalnej przygodzie...

— A ja cię przepraszam, mój sąsiadeczku, że ci może przeszkadzam w twojej robocie...

— Cóż znowu, wcale mi nie przeszkadzasz; powtarzam, iż tylko złodziei tropię po swym lesie...

— Gdzieżbyś też jednak dzisiaj spotkał tutaj kogo, wszakże to po Sylwestrowym wieczorze każdy spity śpi w chałupie...

— Ach, masz racyę, sąsiedzie, zapomniałem, żeśmy to sobie dziś powinni przy Nowym Roku życzyć szczerze i serdecznie wszelkiej pomyślności... Daj, bracie, pyska... Tak... Dosiego roku! Szczęść Boże! Niechże ci się wiedzie lepiej, niż mnie, bo to widzisz sąsiedzie, w mojem gospodarstwie bieda wielka... Nie dasz wiary, kochany sąsiedzie...

A wtem śmiech szatański rozległ się w borze. Mniemany sąsiad zniknął z przed oczu dziedzica, na którego z szumem i z trzaskiem zwaliła się stara sosna. Ale nie udał się zamach Kostusi. Dyabeł bowiem w ostatniej chwili szarpnął tak umyślnie za rękaw swego towarzysza, iż ogromne drzewo, padając, pokaleczyło tylko dziedzica, lecz go nie zabiło...

Kusy z drwiącą miną, wystawiwszy swój ozór ku Kostusi, co rychlej ziemią nakrył grubo skarb rozkopany, by ludzie, gdy przyjdą rankiem wyciągnąć z pod sosny poranionego pana, nie dowiedzieli się o jego bogactwie.

A kiedy kury ze wsi pianiem zwiastowały świtanie, śmierć wsiadłszy na swą kosę, niby na konika, czmychała z lasu, co jej sił starczyło, jak gdyby ją bies gonił swym piekielnym śmiechem.

Bracia moi, jeszcze przyjdzie
Dla gnebionych ludów wiosna,
Sprawiedliwość z góry wejdzie
I znów zabrzmi pieśń radosna,
Będziem wołać: grajku graj
Polską nutę — Boże daj!

* * *

Poranek noworoczny.

(Fraszka sceniczna.)

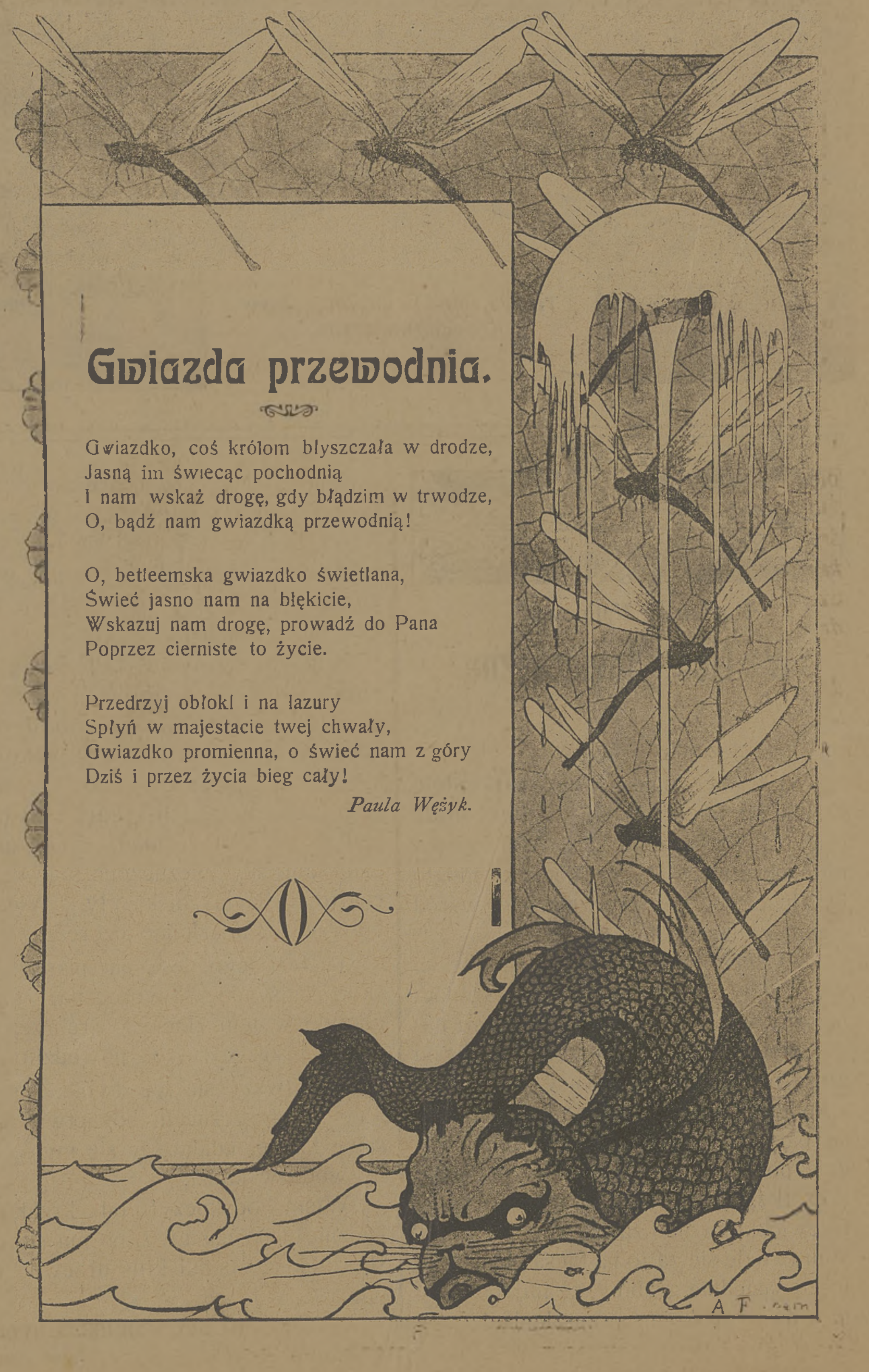
OSOBY.

Pan Telesfor (skromny kapitalista). — *Stróż Maciej.—Wincenty lokaj.—Apolonia* panna służąca. — *Roznosiciel gazet.* — *Listowy.* — *Kominiarz.* — *Aron Cukiermann.*

Scena I-sza.

Pan Telesfor (w szlafroku, cichostępach i nowej czapeczce z chwaścikiem, prezentem gwiazdkowym córek, pykając z fajki ,u której bursztyn jak jaje).

No Telesforku, rok nowy dobrze się



Gwiazda przewodnia.

Gwiazdko, coś królom błyszczała w drodze,
Jasną im świecąc pochodnią
I nam wskaż drogę, gdy błądzim w trwodze,
O, bądź nam gwiazdką przewodnią!

O, betleemska gwiazdko świetlana,
Świeć jasno nam na błękicie,
Wskazuj nam drogę, prowadź do Pana
Poprzez cierniste to życie.

Przedrzyj obłoki i na lazury
Spłyń w majestacie twej chwały,
Gwiazdko promienna, o świeć nam z góry
Dziś i przez życia bieg cały!

Paula Wężyk.

zaczyna. Od samej północy karta odrazu się przeminiła... Same szlemiki i szlemy, a koronek bez liku. Powiadam państwu, że odegrałem wszystko, com z początku wieczora przegrał, a i wzięło się jeszcze jakieś osiem mareczek. Ej, czy tylko się wzięło? *(po namyśle)* Prawda, pan Filip nie zapłacił. On zawsze taki roztargniony, a później nijako mu przypomnieć. Chociaż... chociaż... kiedy wygra, to wziąć pieniędzy nigdy nie zapomni. No, alem zawsze wygrał na zaczęcie roku, a to powiadają dobry omen...

W porządnej rodzinie, jak i w porządnem państwie powinno się zawsze układać budżet całoroczny. Więc panie Telesforze, najwłaściwiej teraz zrobić preliminarz budżetu. *(Wyciąga z biurka książkę rachunkową, zakłada okulary i namyślając się kreśli różne cyfry).* Tak... tak... przypuszczalne dochodziki nie złe, wcale nie złe. A teraz ułóżmy wydatki, bo to powiadają: przychodzie, żyj z rozchodem w zgodzie... (Po upływie pół godziny, gdy już cyfry zostały zestawione, zaciera ręce i mówi): Chwała Bogu, chwała Bogu, wszystko się dobrze kalkuluje, nawet się coś okroi i to nie zła sumka. Prawie 1000 marek. Ejże Telesforku, trzebaby o tym baliku pomyśleć. Moja stara i dziewuchy wciąż mi kotłują głowę, żebym wydał bal na swoje imieniny. A no, dla czego by nie? I owszem. Wszak to św. Telesfora za pięć dni. Trzeba coś dla dzieci zrobić... Odłóżmy na ów bal 300 marek... *(Z uśmiechem wyjmuje z grubszej paczki kilkanaście banknotów).* — No to się dziewczęta ucieszą... *(Słychać za drzwiami hałas pomieszanych głosów).* A tam co się znów dzieje?... *(Idzie ku drzwiom i zaledwie je uchylił, dały się słyszeć słowa):*

— Winszujemy wielmożnemu panu..



— Prawda, to dziś Nowy Rok. Poczciwi ludzie, przyszli mi powinszować. Nie ma rady, trzeba ich wysłuchać i dać na piwo. No dobrze już... dobrze, tylko wchodzić po jednemu.

Scena II-a.

Pan Telesfor i stróż Maciej.

Maciej. A niech ja wielmożnemu panu życzę po sprawiedliwości fortuny, później zaś w niebie koruny.

Pan Telesfor. Dobrze... dobrze, ale czego to Maciej teraz często zasypiacie i jak dzwonię, zaraz nie otwiera, hę?....

Maciej. Po sprawiedliwości, człek ta czasem senny...

Pan Telesfor. A na schodach światło czemu przed dziesiątą gasi?

Maciej. Wielmożny panie, to gospodarza wina, on każe po sprawiedli...

Pan Telesfor. Dobrze, już idźcie, macie tam na piwo...

Maciej (na stronie). Sielma daje tylko markę, a to lokator frontowy (głośno). Dziękuję pięknie za piwo, ale i na gorzałkę zdałoby się...

Pan Telesfor (nieszczęśliwie). Widzi mi się, że Maciej już przebrał miarkę...

Maciej. A na to winszuję po sprawiedliwości... (na stronie) Nic już gęsia dusza nie da.

Scena III-a.

Pan Telesfor i lokaj Wincenty.

Wincenty. Jak mi honor każe, winszuję jaśnie panu najszczęśliwszych szczęśliwości i fortuny najfortunniejszej, która niech...



Pan Telesfor. Dosyć... dosyć... a ja życzę Wincentemu, aby lepiej pilnował porządków i cygar mi nie wypalał.

Wincenty. Jak mi honor miły, to potwarz jaśnie panie... Człowiek się stara.

Pan Telesfor. Czegoż Wincenty chce jeszcze?

Wincenty. Zdałaby się gratyfikacyjka, jak honor kocham.

Pan Telesfor. Później, później zobaczymy...

Wincenty. Dziękuję jaśnie panu, a ja zawsze winszuję, jak mi honor... *(na stronie)* bodajbyś się dziś udławił stary skrobku... nawet mi cygara wymawia.

Scena IV.

Pan Telesfor i panna Apolonia.

Pan Telesfor. A panna czego chcesz?

Panna Apolonia. Przyszłam powinszować także, wszak przy nowym roku..

Pan Telesfor. Pani znów będzie gderać, że tu przyszłaś...

Panna Apolonia. O bo ja... bardzo... bardzo panu dobrodziejowi winszuję...

Pan Telesfor. No dobrze... dobrze, masz panna za życzenia, tylko sza, ani mru mru...



Panna Apolonia (na stronie zerknąwszy na banknot). Jak Józieczka kocham, taki ładny papierek; ślicznie dziękuję... ślicznie winszuję...

Pan Telesfor. Umykaj, bo słyszę jak cię pani woła.

Scena V.

Pan Telesfor i roznosiciel gazet.

Roznosiciel (wchodząc recytuje powinszowanie):

Jestem zwiastunem różnych wiadomości
I wszystko co się dzieje, wśród całej ludzkości,
Ja Ci panie codziennie aż tutaj donoszę,
Więc z tego ja mniemam, a nawet ja wnoszę,
Że... że... że...



Pan Telesfor. Na, masz 50 fenygów i zmykaj, gdzie pieprz rośnie.

Scena VI.

Pan Telesfor i listowy.

Listowy.

W takim dniu uroczystym
jest listów gromada,
Więc i listowy tutaj swe
życzenia składa.

Pan Telesfor. Dziękuję... dziękuję...

Listowy.

A ile liter każdy liścik mieści,
Tyle niech będzie samych dobrych wieści.

Pan Telesfor. Dosyć... dziękuję... dosyć panie.



Listowy (na stronie). Za marną markę i tak za dużo powiedziałem.

Scena VI.

Pan Telesfor i kominiarz.

Pan Telesfor. Jeszcze jeden? A wasza czarna mość czego chcesz?

Kominiarz.

Ja to nad kominem mam dużą władzę,
Niech się więc nigdy nie zapalą sadze,
Tego dziś życzę i z serca winszuję...

Pan Telesfor. Dobrze... dobrze... możesz waść odejść.

Kominiarz. Zdałoby się na mydełko..

Pan Telesfor. A masz... masz, tylko zmykaj panie smoluchu.

Kominiarz (na stronie). Pięćdziesiąt fenygów? No przy pierwszem wymiataniu ja ci ładnie zasmolę pokoje.

Scena VIII.

Pan Telesfor i Aron Cukiermann.

Pan Telesfor. Ach nareszcie już koniec... Za dużo tego dobrego... (spostrzega Cukiermana). A tam kto?



Aron Cukierman. To jeszcze ja, panie dobrodzieju.

Pan Telesfor. A to po co, czy także z powinszowaniem? Czego asan chcesz odemnie?

Aron Cukierman. Ja i powinszować mogę. Dla czego nie? Pan dobrodziej mnie nie zna? Prawda, ale pan zna pana Filipa Resursowicza.

Pan Telesfor. Więc cóż z tego?

Aron Cukiermann. Pan za nim ręczył 1500 marek. Mam tu weksel solidarny. Wczoraj minął termin, ja przyszedłem po pieniądze.

Pan Telesfor. Ależ ja nie pożyczałem, więc zkądże ja mam płacić?

Aron Cukierman. Pan dobrodziej prawdę powiedział, że pan nie pożyczał,



ale pan dobrodziej zapłaci, bo pan poręczył.

Pan Telesfor. Niech pan Filip płaci.

Aron Cukierman. Pan dobrodziej wie dobrze, co pan Filip nigdy nikomu nie płaci.

Pan Telesfor. Prawda, nawet mi dziś w nocy 8 marek z winta nie zapłacił.

Aron Cukierman. A widzi pan dobrodziej. *(Po chwili obustronnego milczenia słodkim głosem):* Więc czy ja dostanę moje pieniądze, czy też ja mam narobić kosztów sądowych i przysłać komornika.

Pan Telesfor (myśli i wzdycha, poczem otwiera biurko, z rezygnacyą wyjmuje pieniądze i wręcza je Cukiermanowi, w zamian odbierając weksel).

Aron Cukierman (już we drzwiach). Ja winszuję panu dobrodziejowi z tym nowym rokiem...

Scena IX i ostatnia.

Pan Telesfor. Budżet całoroczny licho wzięło. Bal na św. Telesfora wściekł się... A no... „kto za kim ręczy, tego Aronek zmęczy...“

(ZASŁONA SPADA).

Ojczysta mowa, to jest dźwięk anielski,
To język Boski, język przyjacielski,
Gdy usłyszysz ojców mowę
Stań pokornie, odkryj głowę,
Bo to Boska wieść!

* * *

Dalej do pracy! nie tracić nam czasu,
My robotnicy, wielkiej myśli słudzy!
Choć z nas niejeden padnie wśród zapasu,
Cel nie ominie, osiągną go drudzy.

* * *

NOWY ROK W CHINACH.

Rok w Chinach składa się z dwunastu miesięcy księżycowych z włączeniem jednego jeszcze miesiąca co trzy lata, aby wyrównać rok słoneczny. Rok zaczyna się w pierwszych dniach lutego, w którym według pojęcia Chińczyków zaczyna się wiosna. Dzień Nowego Roku stanowi ważną epokę w życiu prywatnem i publicznem mieszkańców Państwa Niebieskiego. Kilka dni naprzód każdy się przygotowuje na tę uroczystość, którą święcić wszyscy są zobowiązani. We wszystkich domach myślą wtedy o wyłącznem uczczeniu boga opiekuńczego rodziny i odpędzenia złych duchów, któreby się mogły wcisnąć do ogniska domowego. Począwszy od 23-go lub 24-go ostatniego miesiąca stawiają przed posągiem tego bożka, który w każdym domu posiada rodzaj niszy honorowej, wielkie naczynie porcelanowe napełnione wonnościami, olbrzymią cytrynę, zwaną powszechnie „ręką Buddhy“ (Buddha założyciel religii indyjskiej, wyznawanej także w Chinach, prawdopodobnie w r. 543 przed nar. J. Chr.) i kwiaty narcyzy. Następnie stawiają po dwóch stronach niszy wazony, u biednych gliniane, u bogatych ze srebra, które napełniają popiołem i kładą w nie świece, oraz rodzaj zapałek, które paląc się, wydają woń bardzo przyjemną. Cała rodzina przychodzi po kilka razy pokłonić się przed oświetlonem miejscem, oddając w ten sposób hołd bożkowi, dziękując za opiekę dotychczasową i zaskarbiając ją sobie na rok przyszły. Ponieważ zaś w tym właśnie czasie bożek domowy odbywa doroczną podróż do nieba, zachodzi obawa, żeby tam nie zdał złej relacyi o ludziach, którymi się opiekuje; mogłoby to niemiłe skutki za sobą pociągnąć; starają się więc pozyskać jego względy, aby milczał.

Przygotowują przeto dużo słodkich potraw, ofiarując je bożemu podróżni-



P. Wodzinowski. **Na swojską nutę.**

kowi. Jeżeli potrawy przypadną mu do smaku, napycha się niemi w tym stopniu, że usta mu się zaklejają, a przybywszy do nieba nie jest zdolny przemówić słowa. Karmią także konia, który ma służyć duchowi za wierzchowca, a kiedy w ostatniej nocy przed Nowym Rokiem szlachetne zwierzę przyniesie swego pana ze sfer niebieskich, znajduje w swoim żłobie świeże jarzyny, posypane cukrem. Przez resztę dni czyszczą, odmalowują i restaurują domy, aby, ile możności, nic nie pozostało ze złych wpływów starego roku. Każdy zaopatruje się nie tylko w żywność, ale i w nową odzież i obuwie. Ogromny ruch panuje z powodu regulowania wszystkich rachunków oraz długów całego roku, bo żadnemu Chińczykowi na myśl nawet nie przyjdzie przenieść na nowy rok dawniejsze zobowiązania pieniężne. Ktoby nie zdołał uporządkować w tym czasie interesów, straciłby kredyt zupełnie; to też zdarza się często, że aby zaległość zapłacić, nową zaciągają pożyczkę bez względu na wysokość procentu. Ponieważ jest we zwyczaju zabijać wiele kapłonów na uroczystość Nowego Roku, mówią Chińczycy zwykle, że dłużnik niemogący się w tym dniu uiścić, zasługuje na „los kapłona", to znaczy, że wypadałoby go zabić, bo niewart nosić nazwy człowieka. Zwyczaj wymaga także, aby każdy zaopatrzył się w gałęzie cyprysu, które ostatniej nocy przed Nowym Rokiem mają służyć do rodzaju czarów. Oprócz tego wycinają długie pasy z czerwonego papieru, na których piszą dwa słowa: *taki* (pomyślność) i *tali* (szczęście), i przylepiają je na wszystkich drzwiach. Wejście główne ozdabiają papierem tego samego koloru, ale większego formatu, na którym wymalowane są wizerunki dwóch duchów opiekuńczych. Ten obraz ma władzę przyciągania szczególnych błogosławieństw. Wioślarze na rzekach i marynarze u portu przylepiają także podobne papiery czerwone na przodzie i z tyłu swoich łodzi i okrętów, oddając je pod opiekę dobrych duchów. W przeddzień Nowego Roku zawieszają w każdym domu nad stołem, przybranym w owoce, karton z wypisanemi imionami wszystkich członków rodziny, a obok owoców umieszczają patyczek owinięty w papier, na którym znajdują się owe słowa: *pomyślność, szczęście.* Jest to cześć oddana dobroczynnym duchom i zarazem wskazanie osób, nad któremi opiekę swą roztoczyć mają. Pod wieczór obfita uczta zgromadza u stołu wszystkich mieszkańców domu, i to się nazywa: *odprawa roku.*

Obfitość potraw tej uczty nie jest nigdy wielką, chociaż w nocy z roku starego na nowy nie wolno nikomu zażyć ani na chwilę spoczynku. Każdy powinien czuwać przynajmniej do północy i mieć oczy otwarte — co jest oznaką długiego życia — gdy nadejdzie pierwsza godzina Nowego Roku. Gdy ona wybije, radość powszechna wybucha tak gwałtownie, że graniczy z szałem. Przed każdym domem palą ognie sztuczne i wypuszczają rakiety w powietrze, co jest nietylko zabawą, ale głównie ma na celu odpędzenie rzeszy złych duchów czatujących przed domem, aby wcisnąć się tam, gdzie w roku przeszłym wejść nie mogły.

Około trzeciej godziny w nocy najstarszy w rodzinie przywdziewa strój całkiem nowy, bierze ze stołu, na którym zastawiono owoce, patyczek i rzuca go na podwórze — co jest symbolicznem wezwaniem duchów, aby były obecne ceremonii, która się ma teraz na podwórzu odbywać. Stawiają tam na przygotowanym stole pieczonego kapłona, mały wazon między dwoma zapalonemi świecami i gałęzie cyprysu. Pękami słomy zapalają owe gałęzie, które płonąc pryskają iskrami wokoło. Z mniejszej lub większej jasności płomienia, lub z czasu, przez który gałęzie te płoną, wróżą Chińczycy o lepszej lub gorszej przyszłości. Lecz jakibądź jest wynik tych przepowiedni, skoro ga-

łaź zupełnie spłonęła, wkładają w ten sam wazon trzy wonne zapałki, które palą się powoli. Wówczas wszyscy członkowie rodziny klękają i pochyliwszy się wokoło stołu wspólną modlitwą proszą bogów o zdrowie i długie życie dla siebie i osób drogich.

Oddawszy w ten sposób cześć Bogom, Chińczyk, który w ciągu roku spodziewa się mieć do czynienia z bóstwami wyższe zajmującemi stanowisko, udaje się z rana w dniu Nowego Roku do pagody (świątyni indyjskiej) i temi odwiedzinami zaczyna zwykle szereg nieskończonych wizyt, które złożyć musi osobom pokrewnym lub związanym z nim bliższymi stosunkami. Jeżeli mu się zdarzy spotkać na ulicy krewnego lub znajomego, kłania się nisko kilka razy i wyraża mu życzenia swoje.

— Radość nowa! — mówi — żyj długo, stań się bogatym!

Takie formułki są na wszystkich ustach, a czoła i karki pochylają się ku ziemi. Ale to tylko pospolita moneta zdawkowa. Obyczaje światowe mają jeszcze inne przepisy. Najprzód koniecznością jest posłać bilet wizytowy, który nie jest, jak u nas, kawałkiem papieru z nazwiskiem literami wypisanem. W Chinach jest to prawdziwy obraz drukowany lub malowany od ręki, przedstawiający trzy przedmioty, zawsze te same: dziecko, mandaryna i starca z bocianem, alegoryę trzech szczęśliwości głównie pożądanych w tym kraju; dziecko oznacza sukcesyę, mandaryn urząd publiczny lub awans, długie życie zaś wyobraża u Chińczyków starzec i bocian. Do biletu wizytowego dołącza się podarki dla krewnych, przyjaciół, a przedewszystkiem dla przełożonych. Ze strony krewnych: synów, ojców lub dziadków, których przywiązanie nie ulega wątpliwości, pudła ciastek, owoców kandyzowanych i innych drobiazgów w tym rodzaju wystarczają jako wyraz miłości i słodkich życzeń. Między przyjaciółmi wymaga się większych dowodów. Słudzy roznosząc po domach bilety swoich panów, składają także różne podarki, których wartość stosuje się do możności dawców. Nazywają to ceremonialnymi towarami; składają się one oprócz słodyczy — bo cukier, jako powszechny symbol szczęścia, odgrywa zawsze główną rolę — z wykwintnych potraw, szynek, gniazd jaskółczych, drobiu, herbaty najprzedniejszego zbioru, materyj jedwabnych klejnotów, różnych przedmiotów służących do upiększenia domu, a nawet pereł i drogich kamieni. Spis podarków na pięknie malowanym kartonie dołącza się do każdej posyłki. Oczywiście słudzy, którym powierzono owe posyłki, otrzymują od obdarowanych hojne wynagrodzenie, a byłoby niedarowaną niegrzecznością nie przyjąć przysłanych prezentów. Jednakże, ponieważ wywzajemnienie się jest koniecznym obowiązkiem, jeżeli się zdarzy, że ten lub ów przedmiot jest zbyt drogim lub wspaniałym, wolno go odesłać, wyrażając na liście obok zapisanego przedmiotu bardzo pochlebną formułkę z wyjaśnieniem przyczyny zwrotu prezentu.

Rozumie się samo przez się, że takie odsyłanie nie zdarza się ze strony przełożonych, którzy — jak to zwykle bywa na Wschodzie — z całym spokojem przyjmują ofiary, w przekonaniu, że ich łaska nigdy dość drogo opłaconą być nie może.

Zresztą bilety i podarki nie zwalniają wcale od wizyt, które obowiązują każdego podwładnego. W całych Chinach jeden tylko cesarz, syn nieba, nie kłania się w tym dniu nikomu. Dopełniwszy obowiązku względem każdego posiadającego nad nim jakąbądź władzę, może Chińczyk zacząć przyjacielskie odwiedziny, a składa je tem ochotniej, że gdziebądź wchodzi z życzeniami Nowego Roku, bierze udział w suto zastawionej uczcie. Delikatne ciasta, cukry, wyborne owoce, wonna herbata i doskonałe wina bywają mu ofiarowane skoro wejdzie, a gospodarze proszą usilnie, aby raczył nie odmówić.

Wykwintna biesiada w gronie rodzinnem kończy wreszcie dzień Nowego Roku w Chinach.

Uroczystości noworoczne trwają dziesięć dni dla przemysłowców i kupców, wszelkie inne sprawy zawieszają się na cały miesiąc. Wszystkie urzędy są zamknięte, niewolno nawet karać zbrodniarzy lub ścigać przestępców.

Na Nowy Rok.

Kilka dni temu zjawił się u mnie stróż domu i zaczął wyrzekać na biedę.

— W łeb ją i o ziemię!

— Kiedy twarda...

— Weźcie się ostro do niej! Nie znacie to starej piosenki:

„Z biedą, jak z chorobą —
Nie można jej przedać,
Nie można darować,
Tylko — trza się nie dać!“

— Ja też bat chcę na nią wyszykować — roześmiał się stróż i dodał:

— Względem tego właśnie przysedem... Mam pikną prośbę do wpana...

— Jaką?

— Żeby mi wpan dla lokatorów wyrychtował powinszowanie noworoczne.

— Nie lepiej to iść samemu i żywem słowem przemówić?

— Puńść, się puńdzie, jeno przez drukowanego w ręcach człek jak dziad wygląda.

— Jakiż macie projekt?

— Oczywiście uzbierać se kilka talarów.

— O lokatorów wam nie chodzi? czego im życzyć?

— Ano — pinąchów!

— Zdrowia i szczęścia — podpowiadam.

— E! — machnął ręką stróż — to dobre dla bidnego stanu, państwo o takie rzeczy nie stoi, panom ino piniąchy w głowie.

— Tfy — splunąłem — widzę, że z was wielki dureń.

— Proste słowo, ale rzetelne! — potwierdził i spojrzał mi bystro w oczy.

— Macie wy serce?

— Juści, że mom...

— Więc radzę wam zacząć od serca. Najlepsza to droga do wszystkiego...

— Ha! kiej pon tak mówi, toby może nie wadziło zameldować o zdrowiu i fortunie?

— Dobrze — przerwałem, siądźcie sobie na chwilkę, a ja wszystko, jak należy, lokatorom zamelduję.

— Tylko uważnie słuchajcie — dodałem, pisząc i odczytując mu głośno następujące rymy:

Czy śnieg sypie, czy grzmią burze —
Śpią po kątach różni stróże,
Ja na wszystko baczę okiem,
Życząc zdrowia z Nowym Rokiem.

— To się wie — mruknął.

— Słuchajcie dalej:

Dziś od rana, tudy-siudy
Biegam, ścieram roczne brudy —
Tak się krzątam i wciąż wiercę,
Żeby schwycić was za serce...

— Widzi mi się — przerwał — że po próżnicy butów darł nie będę...

— No, to jazda do drukarni — rzekłem, gdy cała oracya była skończona.

— Pożegnał mnie uszczęśliwiony.

Od serca do serca, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z nimi na rodzinnej niwie
Miłości i wiary rozsiane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna.

* * *

Prawdziwe bogactwo — to ziemia.

Dział kobiecy.

Nie straszcie dzieci!

Mało jest matek, któreby wychowały dzieci bez straszenia. Ileż to razy się słyszy:

— Nie płacz, bo wilk pomyśli, że to inny wilk tak wyje i przyjdzie do ciebie.

— Jak nie będziesz grzeczny, to cię kominiarzowi oddam.

— Krzycz, krzycz, wsadzi cię baba do worka, to się uciszysz.

Powtarza się to często, codzień niemal, bez zastanowienia, tak sobie, byle tylko dziecko jak najprędzej uspokoić i żadnej z tych strasznych matek nie przyjdzie na myśl, że ułatwiają sobie zajęcie się dzieckiem, jemu czynią wielką krzywdę. Przedewszystkiem psują mu zdrowie, bo strach oddziaływa źle na nerwy, może doprowadzić nawet do ciężkiej choroby, do konwulsyi lub zapalenia mózgu. Nam groźba, że „wilk przyjdzie, kominiarz weźmie" — wydaje się tylko żartem, ale dziecko bierze ją zupełnie poważnie i rozszerzonemi strachem oczkami spoziera naokół, czy nie idzie ów nieznany mu, lecz przeczuwany potwór, aby go zabrać, a serduszko wali jak młotem...

Wyobraźmy sobie, że przed nami staje bandyta, mierzy do nas z rewolweru i woła:

— Ręce do góry!

Wiemy, że wypełnienie rozkazu zapewni nam życie, a jednak taka pogróżka nabawiłaby nas niemałego strachu i może przyprawiła o chorobę. Otóż groźby wychowawczyń, zwracane do dzieci, działają nań nierównie silniej, jak na nas taka przygoda z bandytą. My zatem w każdym obcym człowieku widzielibyśmy bandytę, dziecko w każdej starszej kobiecie, babę z workiem, w kątach pokoju, pod meblami, w ciemności roją mu się dziwne potwory i czynią życie strasznem i nudnem.

Pamiętam, jak dzieckiem będąc, z zapadnięciem zmroku siadałam na nogach, bo sądziłam, że gdy je spuszczę na dół, zaraz mnie za nie uchwycą jakieś okropne ręce. Pamiętam, jak dostawałam dreszczy na widok kominiarza. Jak żebrak z torbami był dla mnie groźną postacią. Jak do ciemnego pokoju za nicbym nie weszła. Jak obudziwszy się w nocy, płakałam rzewnemi łzami z obawy ciemności. Krzyk puszczyka nabawił mnie silnej gorączki.

A przecież byłam podobno wyjątkowo odważnem dzieckiem. Są jednak takie, przy których mimo lampki nocnej trzeba siedzieć nim zasną, które boją się leżeć w łóżku i gramolą się do łóżka matki, które w biały dzień nie zostaną same w domu.

Oto mamy wielką krzywdę, jaką wyrządza dzieciom straszenie — utrudnia im niezmiernie życie. I nie im tylko, ale także ich otoczeniu. Zdarza się, że taki lęk, w dzieciństwie zaszczepiony, pozostaje na całe życie i rozstraja nerwy i naraża na pośmiewisko nieszczęsne ofiary niemądrego zwyczaju wychowawczyń.

Z dziedziny hygieny.

Szkarlatyna.

Szkarlatyna jest najcięższą i najniebezpieczniejszą chorobą zakaźną wieku dziecięcego, chociaż i dorośli stosunkowo często podlegają zarażeniu się, a jeżeli znacznie rzadziej od dzieci, to tylko dlatego, że już w dzieciństwie przebyli ją. Kto raz przebył choćby lekką formę szkarlatyny, ten z bardzo nieznacznymi wyjątkami na zawsze jest od niej zabezpieczony. Ogromna ilość dzieci co roku ginie od szkarlatyny, wiele bardzo zostaje dotkniętych na całe życie najrozmaitszemi komplikacyami, właściwemi tej chorobie, jako to: wady serca, głuchota, porażenia nerek i t. d.

Niemożność skutecznej walki ze szkarlatyną zależy od tego, że dotychczas nie został wykryty zarazek jej, skąd niemożebnem jest przygotowanie leczniczej surowicy. Dawniej również strasznym biczem wieku dziecięcego był dyfteryt — przed 15-tu laty dokładnie został poznany zarazek jego, t. zw. pałeczka Läfflera i dziś najcięższe formy dyfterytu napewno są uleczalne surowicą antidyfteryczną, przygotowywaną z krwi koni. Prócz dyfterycznej, mamy już surowicę od krwawej dysenteryi, a napewno można powiedzieć, że niezadługo niewątpliwie nauka znajdzie surowicę i od szkarlatyny. W tym kierunku idzie już bardzo energiczna praca, mamy szereg surowic, leczących niby szkarlatynę, a także szczepionek, ochraniających niby od niej, ale wszystko to jeszcze nie wyszło z okresu prób szukania prawdy. Dzisiaj, powtarzam, mamy tylko dwie surowice, napewno leczące: antidyfterytyczną i antidyzenteryczną.

Jakże należy strzedz nasze dzieci od zarażenia się szkarlatyną, jak obowiązani jesteśmy zachowywać się wobec znajomych, mając w domu chorego na szkarlatynę — oto będą podstawowe kwestye niniejszej pogadanki.

Należy zawsze pamiętać, że zupełnie zdrowy i normalny w danej chwili organizm najmniej jest usposobionym do zaszczepienia sobie zarazka, z którym wypadkowo się spotyka; stąd najgłówniejsze prawidło ochronne — możliwie przestrzegać wszelkich zasad hygieny. Dziecko powinno wcześnie iść spać, w pokoju sypialnym, szczelnie codzień dwa conajmniej razy przewietrzonym, temperatura nie powinna być wyższą nad 14° R. i nie niższą — 12° R., spać trzeba nie mniej 8—9 godzin, rano po wymyciu wodą pokojową do pasa i po zjedzeniu pożywnego śniadania zaczynać dzień od choć krótkiego spaceru (10 — 15 minut), a już potem brać się do nauki. Mam tu na myśli dzieci, mieszkające na wsi i, jak się bardzo wiele razy przekonać mogłem, bardzo niehygienicznie prowadzone: i tak, naokoło masa świeżego czystego powietrza, a dziecko po całych dniach w niewietrzonych gorących pokojach po 8—10 godzin dzienie siedzi nad książką. Po obiedzie drugi dłuższy spacer, potem 1 — 2 godziny zupełnego odpoczynku, następnie do godz. 9-tej najdalej przygotowywanie lekcyj; przed snem znowu mycie do pasa, 5 — 10 minut wanna powietrzna zupełnie bez ubrania, wytarcie mokrym ręcznikiem nóg do kolan i — spać. Po każdem jedzeniu koniecznie płukać usta ciepławą wodą z dodaniem łyżki spirytusu i 20 kropel miętowych na szklankę, a przed snem dobrze jest dodać jeszcze do tego płukania łyżkę deserową wody utlenionej. Sposób taki usuwa resztki pokarmów, dezynfekuje jamę ustną, chroni zęby od psucia się, a zęby psujące się często wywołują zapalenie gardła, a chore gardło łatwiej przyjmuje wszelką zarazę, a szczególnie szkarlatynę. W celu chronienia całości zębów i normalności gardła nie dawać dzieciom napojów i pokarmów gorących.

Tyle co do podniesienia odporności osobistej dziecka. Teraz parę słów o mimowolnych nosicielach zarazy na ubraniu, rękach, włosach, w jamie ustnej. W rodzinach ubogich wprost niemożebnem jest zachowanie koniecznych ostrożności i jeden przypadek szkarlatyny zaraża całe otoczenie, które na wszystkie strony bezwiednie roznosi zarazę: a więc, majstrowie, krawcy, szewcy, czyściciele posadzek i t. d.

Otóż wszelkimi sposobami należy dzieci chronić od zetknięcia się z takimi ludźmi. Z tejże racyi nie należy dzieci brać do magazynów, kinemato-

grafów, teatrów, pod żadnym warunkiem nie wchodzić z dziećmi do aptek, w czasie epidemii nie sprawiać dzieciom ubrań nowych, szytych poza domem. Nie jeździć tramwajami. Nie pozwalać całować dzieci.

Jeżeli pomimo zachowywania wszelkich ostróżności dziecko zapada na szkarlatynę, a najczęściej ma to miejsce z dziećmi, uczącemi się w zakładach, albo z małemi dziećmi, zarażanemi przez uczniów, należy pamiętać, że wprost zbrodnią jest lekceważenie najściślejszych ostrożności względem innych. A jak pod tym względem publiczność wogóle jest mało dbała, to każdy lekarz ma dowody — naprzykład: w domu dziecko w fazie najsilniejszego łuszczenia się po szkarlatynie, a ojciec chodzi do biura, nie zmieniając ubrania, matka odwiedza różne magazyny, starszy zdrowy, który już dawniej przebył szkarlatynę, uczeń, chodzi do szkoły w obawie opuszczenia lekcyj, dla córeczki szkoda opuszczać lekcyj muzyki i francuskiego i t. d.

Czuję, jak w tej chwili niejeden czytelnik pomyśli: a doktór? — przecież on najłatwiej może przenieść chorobę na ubraniu swojem i t. d. Tak, jeżeli lekarz zaniedbuje środki ostrożności, jeżeli się przy chorym nie ubiera w fartuch, nie zrzuca ubrania, nie myje się po opatrzeniu chorego, to naturalnie może przenosić zarazę, ale myśląc o tem i zachowując całą ostrożność, taki lekarz jest mniej stokroć niebezpiecznym od wystrojonej wizytującej pani, która ma w domu chorego, albo przed chwilą była u modniarki, gdzie za parawanem leży dziecko, którego zaraźliwa choroba naturalnie jest ukrywaną przed klientkami. A cóż można mówić o środkach ostrożności tam, gdzie bieda zmusza całą rodzinę mieścić się w jednym pokoju, gdzie ojciec chodzi na robotę codzienną w tem samem ubraniu, bo tylko ma jedno, a matka szyje na maszynie obok łóżeczka chorego, bo niema drugiej izby! Są to ciężkie bardzo i smutne okoliczności, ale są one bardzo częste i liczyć się z niemi należy.

Otóż należy najściślej izolować chorego od zdrowych; przy chorym wszyscy powinni być w ubraniach płóciennych, najlepiej fartuchach albo długich nocnych koszulach; pod żadnym warunkiem nie wchodzić do pokoju chorego w ubraniu zwyczajnem. Ubranie, w którem się wychodzi z domu, i czapka powinny leżeć gdzieś najdalej od pokoju chorego i być zawsze zakryte prześcieradłem. Wychodząc z domu do biura czy do miasta, należy bardzo szczelnie wymyć ręce, a twarz i włosy zmoczyć dobrze wodą kolońską (spirytusem), powróciwszy do domu zaraz w przedpokoju zupełnie się rozebrać, włożyć dawne ubranie płócienne. Dzieci zdrowe pod żadnym warunkiem do zakładów naukowych nie posyłać aż do czasu przeprowadzenia najściślejszeej dezynfekcyi (pary z formaliną — nie innej). Tak postępując ma się czyste sumienie, że nikogo się nie zarazi. Wszyscy przy chorym powinni najmniej trzy razy dziennie szczelnie płukać gardło i usta wodą utlenioną (łyżka stołowa na szklankę wody ledwo ciepłej) dla własnego bezpieczeństwa. Służbie zabrania się odwiedzać sąsiadów i przyjmować znajomych, a do pokoju chorego wchodzić dla porządkowania także w stosownym stroju, które się wychodząc wiesza we drzwiach, a po skończonem porządkowaniu wymyć ręce i wypłukać gardło. Nikogo, nawet takich, co mówią, że się niczego nie boją, u siebie nie przyjmować. Możliwie często brać kąpiel ciepłą z mydłem.

Z najlżejszą szkarlatyną radzę rodzicom nie żartować i nie polegać na wielkiem osobistem doświadczeniu w leczeniu, bo każdy najlżejszy nawet na początku przypadek może dawać najcięższe i niebezpieczne powikłania, często zależne od niewłaściwego postępowania z chorym (dyeta, wstawanie i t. d.)

Do tak zwanych środków domowych, mających chronić dziecko od szkarlatyny, należy noszenie na piersiach pod ubraniem woreczka płóciennego z tłuczoną kamforą. Sposób ten nietylko nie jest szkodliwym, ale zupełnie racyonalnym, bo wciąż ulatniająca się kamfora, jako środek wybitnie bakteryobójczy, może do pewnego stopnia mieć znaczenie ochronne.

Dr. E. S.

Nasze ryciny.

Cezar Fracassini. „Śmierć św. Szczepana.“

Pierwszy dzień po Bożem Narodzeniu (26-go grudnia) obchodzimy uroczystość św. Szczepana. On to bowiem wylał pierwszy krew swoją w służbie Jezusowej i dlatego zasłużył sobie na pierwsze miejsce przy żłóbku Zbawiciela.

Gdzie się św. Szczepan urodził i jakich miał rodziców, niewiadomo. Jest rzeczą pewną, że był z urodzenia żydem; miał być uczniem słynnego i w Piśmie uczonego Gamaliela. Już w pierwszym roku po Zesłaniu Ducha św. wsławił się św. Szczepan zapałem w sprawach wiary. Po wyświęceniu na dyakona zajmował się głównie, jak mu urząd nakazywał, jałmużnami wiernych, ale równocześnie pomagał apostołom w nauczaniu ewangelii, a dzięki osobliwym łaskom i darom Bożym, dokonywał tak licznych nawróceń, iż żydzi obawiali się zupełnego upadku zakonu swego. Wreszcie obdarzył go Pan Bóg szczególną łaską czynienia wielkich cudów.

Żydzi wiedzieli dobrze, że św. Szczepan zna prawo Mojżeszowe, widząc tedy, że mimo to głosi śmiało naukę Chrystusową, a lud zapalony potęgą jego słów i cudów gromadnie przechodzi do szeregów chrześcijan, postanowili wezwać młodego dyakona na ustną rozprawę, wykazać mu przebiegłem rozumowaniem błąd jaki lub omyłkę i tak zawstydzić jego i wszystkich wyznawców Jezusa Nazarańskiego. W tej sprawie uczeni w Piśmie doktorowie żydowscy chwycili się nieszlachetnej broni: podstępu i oszczerstwa. Przekupili fałszywych świadków, którzy orzekli, jakoby słyszeli św. Szczepana, bluźniącego Mojżeszowi i samemu Panu Bogu. Powstało ztąd ogromne oburzenie wśród ludu i kapłanów. Tłum porwał św. Szczepana i zawlókł go przed Najwyższą Radę, złożoną z kapłanów i faryzeuszów z arcykapłanem Kajfaszem na czele, by się wytłomaczył z czynionych mu zarzutów. Św. Szczepan, którego oblicze przybrało wyraz przedziwnej jasności i niewinności, zbijał z dziwną bystrością umysłu i znajomością Pisma św. wszystkie uczynione mu zarzuty. Mowę swą zakończył św. Szczepan oskarżeniem przeciwników, zgromiwszy ich surowo. Tłum zgrzytał zębami i odgrażał mu się. Św. Szczepan czuł dobrze, że padnie ofiarą nienawiści żydów. Wzniósł przeto oczy swe ku niebu, by uprosić sobie pomoc Boską do bliskiej walki. W tej chwili ujrzał chwałę Bożą i Jezusa stojącego na prawicy Boga Ojca, jakoby mu dawał znać, że nie opuści sługi Swego. Zawołał więc radośnie: „Oto niebiosa otwarte i widzę Syna człowieczego, stojącego po prawicy Bożej“. Na to powstał zgiełk nieopisany. Żydzi poczęli przeklinać i złorzeczyć i zatykali sobie ze zgrozą uszy, bo wydawało im się niesłychanem bluźnierstwem, że Jezus Nazareński równy jest Bogu wiecznemu. Jednomyślnie rzucili się na św. Szczepana jak wilki drapieżne na jagnię, porwali go i bez dalszych przesłuchów wywlekli za miasto, by go jako bluźniercę ukamienować. Fałszywi świadkowie, którzy wedle prawa musieli rzucić pierwsze kamienie, zdjęli szaty swoje, aby tem swobodniej wykonać okrutne dzieło; szaty

oddali młodzieńcowi, imieniem Szaweł. Był to ten sam Szaweł, który, dzięki modlitwie św. Szczepana, stał się później sławnym apostołem narodów, św. Pawłem. Święty Szczepan stał zrazu nieruchomie wśród gradu kamieni i wzywał Jezusa, za którego ginął śmiercią męczeńską: „Panie Jezu, przyjm ducha mego." Poczem przyklęknął i zawołał głosem potężnym: „Panie nie poczytaj im tego grzechu." Ledwie te słowa wypowiedział, wyzionął ducha; było to około r. 34. Kilku mężów bogobojnych pogrzebało zwłoki św. pierwszego męczennika. Wedle starodawnego podania pochował ciało św. Szczepana słynny jego mistrz Gamaliel na jednym ze swych majątków niedaleko Jerozolimy. Dziś spoczywają relikwie św. Szczepana w kościele św. Wawrzyńca w Rzymie. Głowę św. Szczepana zachowują w Padwie.

Słynny malarz włoski Cezar Fracassini świetnie przedstawił chwilę ukamienowania przez żydów św. Szczepana na swoim obrazie „Śmierć św. Szczepana," której reprodukcyę dajemy na karcie albumowej.

— Czytelnikom, Przyjaciołom, Zwolennikom i Współpracownikom naszym **zasyłamy z Nowym Rokiem serdeczne życzenia wszelkiej pomyślności, dziękując jednocześnie za otrzymane z różnych stron liczne życzenia świąteczne i noworoczne oraz wyrazy uznania za dotychczasową pracę wraz z zachętą do wytrwania na posterunku.**

Redakcya.

Nekrologia.

† **Ś. p. Józefa z Kolskich Kulerska,** żona p. posła Kulerskiego, dnia 22-go z. m. w Krakowie. Panu posłowi Kulerskiemu przesyłamy wyrazy naszego współczucia. — **Ś. p. Walenty Drogowski,** weteran z 1863-go roku, dnia 22-go b. m. w Poznaniu na Jeżycach. — **S. p. Emilia Röhr z domu Röhr,** dnia 23-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 42. — **S. p. Marya Koraszewska,** matka p. Bronisława Koraszewskiego, redaktora i wydawcy „Gazety Opolskiej" w Śniecinie w Król. Polskiem. Panu Koraszewskiemu przesyłamy wyrazy naszego współczucia. — R. i. p

Kalendarzyk historyczny.

Dnia 2-go stycznia 1491 bitwa z Węgrami pod Koszycami. — 1662 konfederacya wojska pod Świderskiem w Lublinie.

Dnia 3 stycznia 1601 zwycięstwo nad Szwedami pod Wenden. — 1730 śmierć hetmana Ludwika Pocieja. — 1795 deklaracya Austryi i Rosyi do zupełnego rozbioru Polski.

Dnia 4 stycznia 1517 sejm pruski przez Zygmunta I. zwołany do Malborga. — 1663 pobicie kozaków pod Starymirem. — 1744 przymierze Katarzyny z Fryderykiem warujące elekcyę Poniatowskiego. — 1771 pobicie Moskwy pod Częstochową.

Dnia 5 stycznia 1576 poselstwo stronników Maksymiliana w Wiedniu. — 1638 śmierć kanclerza Tomasza Zamojskiego. — 1660 zjazd komisarzy do zawarcia traktatu w Oliwie. — 1664 zdobycie na Moskalach Bychowca. — 1665 zabójcy Gosiewskiego śmiercią karani. — 1796 Austryacy wkraczają do Krakowa.—1831 manifest sejmu do narodu.

Dnia 6 stycznia 1255 Mazowsze przez pacta do korony wcielone. — 1429 zjazd królów chrześciańskich w Łucku. — 1446 Bolesław, książe mazowiecki, królem w Piotrkowie ogłoszony.

Dnia 7 stycznia 1285 synod duchowieństwa Polskiego w Łęczycy. — 1375 synod duchowieństwa polskiego g Uniejowie. — 1573 sejm konwokacyjny.

Dnia 8 stycznia 1634 Władysław IV przybywa pod Smoleńsk. — 1759 inwestytura księcia Karóla na księstwo Kurlandzkie.

Nowe książki i treść pism.

— **Nauka języka polskiego.** Bardzo praktyczny podręcznik dla poznania prawideł języka polskiego wyszedł nakładem **„Katolika" w Bytomiu.** Jest to **„Praktyczna gramatyka polska,"** napisana przez Kazimierza Zimowskiego, nauczyciela w Krakowie. Autor pisał swą książeczkę (takby mniemać można) dla użytku szkół polskich, lecz dość przejrzeć kilka kartek, aby poznać, że z tej książeczki każdy umiejący czytać, łatwo sam poznać może najgłówniejsze prawidła gramatyki, ortografii i składni języka polskiego. Książeczka ułożona jest przejrzyście, napisana jasno i zrozumiale, to pierwsza jej zaleta. Drugą jej zaletą jest zwięzłość. Bardzo mało jest wśród nas takich, coby mieli czas oddawać się długim i głębokim studyom nad językiem ojczystym. Otóż książeczka p. Zimowskiego, wydana nakładem **„Katolika" w Bytomiu,** jest niewielka, nie zapuszcza się w studya głębokie, ale w sposób praktyczny wyjaśnia to, co każdy Polak i każda Polka o swym języku wiedzieć powinni. Trzecia zaleta książeczki, to jest jej nizka cena, albowiem kosztuje egzemplarz ładnie i trwale oprawiony, **tylko 50 fen., z przesyłką** 60 fen. Na taką sumę jużci każdy się zdobędzie, przypuszczać zatem można, że „Praktyczna gramatyka polska" wkrótce znajdować się będzie obok elementarza w każdym polskim domu.

— **Nowości wydawnicze.** Ktokolwiek miał sposobność przyjrzeć się papierom listowym z przed kilkunastu lat i porównać je z dzisiejszymi, poznał, jak wielka nastąpiła przemiana. Niepozorne w całej powierzchowności, niekiedy wprost brzydkie, ustąpiły dziś miejsca wykwintnym, nieraz aż nadto zasługującym na ogólnie im nadawane miano „luksusowych." Lecz nie tylko w tym kierunku uległy odmianie. Poczęto na nich umieszczać wyobrażenia religijne i świeckie. Powodem tego była bądź to chęć jak najszerszego rozpowszechnienia znajomości wypadków i rzeczy drogich każdemu, bądź też dogodzenie osobistemu upodobaniu poszczególnych jednostek.

Tymi względami kierowało się też widocznie Wydawnictwo Karola Miarki w Mikołowie, wydając od razu aż dziesięć rodzai teczek czyli seryi z papierem listowym. Co do sposobu wykonania dzielą się na barwne i jednokolorowe, treścią zaś zadowolą wszelkie upodobania.

Każda teczka, tak barwna jak jednokolorowa zawiera stosowne do wyobrażeń poematy, a przy podobiznach Świętych Pańskich i poetów krótkie życiorysy.

Wykonanie całości jest tak udatne, że śmiało współzawodniczyć może nie tylko z podobnemi wydawnictwami swojskiemi, ale nawet i obcemi. Wobec tego cena 10 fen. za teczkę jest niezwykle nizką. Papier przytem znakomity, a oprócz odpowiedniej liczby kopert dołączono zaraz i bibułę z liniaturą do podkładania przy pisaniu. W seryi dla dzieci dochodzi jeszcze krótka nauka pisania listów.

Publiczność polska powinna poprzeć wdzięcznie starania ruchliwego wydawnictwa używaniem tego papieru listowego, żądając we wszystkich księgarniach i składach papieru teczek listowych Karola Miarki w Mikołowie.

— **„Śpiewak,"** miesięcznik literacko muzyczny, zeszyt 6-ty na grudzień opuścił prasę i zawiera:

„Odezwę do zarządów okręgowych. — Od Wydziału. — O dyrygowaniu. — Pieśni narodowe Słowian południowych Fr. Sz. Kuhacz. — Wiadomości ze świata muzycznego. — Rozmaitości."

Dodatek muzyczny obejmuje 2 kompozycye Wł. Fierka: „Przy rozdawaniu gwiazdki" na 4 głosy mieszane i „Arya o nadziei" jednogłosówka z tow. fortepianu.

Nowości muzyczne pod inseratami.

Adres ekspedycyi: Józef Ganke, Poznań Kwiatowa nr. 9.

Humor i satyra.

Nasze życzenia.

Ach, z Nowym Rokiem nieść życzenia,
To wcale nie jest rzecz tak łatwa,
Świat się przekształca, człek się zmienia,
A ludzkość, to kapryśna dziatwa.

Więc Wasz humorysta wszędzie chodzi,
Skarbonką uczuć swych potrząsa
I myśli: komu dziś dogodzi.
A kto? i za co się rozdąsa?

Zacznijmy więc od noworodka.
Dla tych cel tylko jest jedyny:
Niechże mu będzie dola słodka
Przy piersi drogiej, przy matczynej.

Gdy *bobo* już ma cztery latka,
To się takiemu życzyć musi,
By codzień smaczna czekoladka
Dostała mu się od babusi.

Podlotek i studencik bardzo
Szczęśliwe i przyjemne czasy!
Już cukierkami tacy gardzą,
Życzyć im trzeba — *dobrej klasy.*

Panienka w studyach się natęża,
Studencik także pnie się w górę,
Panienkom trzeba życzyć męża,
Student — *niech dobrze zda maturę.*

Aktorom życzy: moc oklasków,
Trybunom — uwielbienia tłumu,
A literatom — sławy, blasków,
A dekadentom — łut rozumu.

Dla siebie zasób życzeń mały,
Niech ma stosunek wciąż serdeczny,
Z czytelnikami szczery, trwały,
Nierozerwalny, mocny — wieczny.

* * *

Na sylwestra.

Na Sylwestra — uciech święto,
Więc wypijmy „jeden“ z miętą,
Na Sylwestra — koniec roku,
Toż skosztujmy także „boku“,
Na Sylwestra skrzy humorek,
Hola! kelner!! daj kawiorek!
Na Sylwestra — nowa era
Do kawiorku daj pilznera!
Stary rok puszczamy w trąbę,
Pijmy zatem drugą „bombę“!
Na Sylwestra — wszakżeż warto,
Nalej „bombę“ trzecią, czwartą...
Nowa era się zaczyna
Dajno jeszcze butlę wina!
Dziś Sylwester — precz więc smutki,
Napijmy się jeszcze wódki,
Ale „haustem“ — aż do spodu;
Zaraz skosztujemy miodu.
Na Sylwestra! — w Roczek Nowy!
Spróbuj bracie siły głowy!
A kto nie chce — to pan taki
Godzien jest, by iść w... duraki!

* * *

Stracił przez wymowę.

O nie nazbyt piękną córkę znanego z mijania się z prawdą bogatego kupca kolonialnego starał się młody człowiek, lubiący popisywać się swoją wymową.

— Czy pan rzeczywiście kocha moją Zosię, zapytał go, gdy wszedł do sklepu z zamiarem proszenia o jej rękę.

— Panie, zawołał zapytany, kocham ją jak źrenicę w oku, jak słońce na niebie, jak zapach róż i konwalij. Niema ofiary na którąbym się dla niej zdobył, niema skały z którejbym w przepaść po nią nie skoczył, niema...

— Dosyć, dosyć — przerywa mu zniecierpliwiony ojciec. — W rodzinie mojej jest już jeden kłamca, a tym jestem ja, pojmujesz więc pan dobrze, że obejdę się bez towarzysza.

* * *

Dla kogo odnalazł?

Bogata córka znanych ze skąpstwa właścicieli kamienicy na prowincyi, wyszła z domu i nie powróciła do niego więcej.

— Panie Karolu, — odzywa się do jednego z młodych ajentów śledczych komisarz policyi, zajmij się pan odszukaniem dziewczyny. Jest to panna, która świeżo odziedziczyła po swojej ciotce utrzymującej sklep z wiktuałami, trzydzieści tysięcy marek, a po rodzicach dostanie dwa razy więcej.

W kilka dni potem, zgłasza się do urzędu policyjnego ajent, z oświadczeniem, że pannę odnalazł.

— Gdzież ona jest? — zapytuje komisarz, — czy aby w bezpiecznem schronieniu?

— W bezpiecznem, panie komisarzu, — odpowiada zapytany, — od wczoraj bowiem jest moją żoną.

* * *

Skorzystała z nauk.

Małą Janinkę podrapał kot, z którym się w pokoju bawiła.

— Przebrzydły potwór! — zawołała dziewczynka zrzucając go z kolan.

— Moja Janko, — odzywa się do niej matka, — nie używaj takich brzydkich wyrazów.

— Dobrze mamusiu, już nigdy one nie postaną w moich ustach, — odpowiada dziecko.

Na drugi dzień, kot podrapał ją aż do krwi znowu.

— Idź sobie odemnie, zawołała z płaczem do kota, jesteś takim samym, jakim cię nazwałam wczoraj.

Zagadka rachunkowa.

Zadanie rachunkowe.

Ułożył czytelnik „Pracy“ p. Mieczysław Lipiński ze Strzelna.



W obok stojące kwadraty powstawiać parzyste liczby od 6 do 36 w ten sposób, ażeby zliczony każdy rząd poziomy i pionowy wydał lczbę 126.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 6-go stycznia włącznie.

Później nadesłanych rozwiązań nie uwzględnimy.

Przy rozdawaniu nagród uwzględnimy tylko te osoby, które nam nadeślą dokładne rozwiązanie powyższej zagadki.

Rozwiązanie zagadki zamieszczonej w nr. 51-szym.

C'
los
brona
Jankiel
Cook Peary
grzechy
Braga
era
y
Cook Peary.

Dobre rozwiązanie nadesłali pp. Jaroś Czabański ze Zaniemyśla, Jadwiga Badura z Rożdzienia i J. N. Szczepanowski z Berlina i otrzymali nagrody.

WYDRĄŻONA IGŁA.

Z francuskiego tłum. **R. S.**

„A. L. N., Biuro 45, Paryż.

„Rozpaczliwa sytuacya. Operacya konieczną. Wysłać sławę drogą państwową 14.“

Dowód ten był niezbity. Wspólnicy z Paryża zostali zawiadomieni. O godzinie dziesiątej wysłali sławę lekarską drogą państwową numer 14, która przytyka do lasu d'Arques, a kończy się w Dieppe. Przez ten czas banda włamywaczy, korzystając z zamieszania spowodowanego przez pożar, uprowadziła swego naczelnika do jakiej oberży, w której dokonano operacyi zaraz po przybyciu lekarza, koło godziny drugiej.

Nie było wątpliwości. Wysłani przez policyę paryską, Ganimard i Folenfant, skonstatowali przejazd automobilu przez Pontoise, Gournay i Forges. Również z Dieppe do Ambrumésy. A chociaż stracono ślad o jakie pół mili od zamku, zauważono dużo śladów stóp między furtką, a ruinami klasztoru. Ganimard zauważył również, że zamek u furtki był popsuty.

Wszystko się więc wyjaśniło, chodziło zatem tylko o znalezienie oberży, o której wspominał doktór Delattre. Drobnostka to dla takiego detektywa, jak Ganimard. Zresztą liczba oberży jest ograniczoną, a zważywszy na stan chorego, nie mogli go daleko transportować. Ganimard i Quevillon rozpoczęli poszukiwania. Milę w około przeszperali wszystkie domy, które mogły były nosić miano oberży, lecz rannego nie znaleźli.

Ganimard uwziął się. Przespał w zamku noc z soboty, chcąc w niedzielę prowadzić dalej poszukiwania. W niedzielę rano żandarmi donieśli mu, że w nocy zauważyli sylwetkę człowieka, który prześlizgnął się ścieżką wzdłuż muru. Czy to jaki wspólnik, który przybył po wiadomości? Czy miano się domyślać, że przywódca bandy nie opuścił klasztoru, lub że się znajduje w pobliżu?

Wieczorem Ganimard w towarzystwie Folenfant stanęli na czatach za murem przy furtce.

Krótko przed północą jakiś człowiek wyszedł z lasku, przeszedł między nimi, i przez furtkę udał się do parku.

Przez trzy godziny, widzieli, jak błądził między ruinami, to schylając się, to unosząc głazy, często stawał zamyślony. Następnie zbliżył się do furtki i chciał wrócić tą samą drogą.

Przeszkodzili mu detektywi. Ganimard uchwycił go za nogi. Nie bronił się, najspokojniej w świecie pozwolił się skrępować i zaprowadzić do zamku. Gdy go wzięli na spytki odpowiedział im, że tylko sędziemu śledczemu odpowiadać będzie.

Przywiązali go więc do nogi od łóżka w pokoju przylegającym do ich sypialni.

W poniedziałek rano przybył pan Filleul. Ganimard doniósł mu o dokonanem schwytaniu. Kazano więźniowi zejść. Był to Izydor Beautrelet.

— Pan Izydor Beautrelet! wykrzyknął pan Filleul z zadowoleniem, wyciągając do niego ręce. A to miła niespodzianka! Nasz przygodny detektyw tutaj, to dobra wróżba. Panie inspektorze pozwól, że ci przedstawię ucznia retoryki w liceum Janson de Sailly.

Ganimard osłupiał. Izydor ukłonił mu się bardzo nizko, jak przed kimś, którego zasługi się ceni, a zwracając się do pana Filleul zapytał:

— Zdaje się panie sędzio, że posiadasz o mnie dobre informacye.

— Doskonałe! Najpierw prawdą jest, że byłeś w Veulesles-Roses w czasie, w którym zdawało się pannie de Saint-Véran, że ciebie widziała. Następnie jesteś rzeczywiście Izydorem Beautrelet, uczniem retoryki, nawet doskonałym uczniem, pilnym i wzorowego prowadzenia się.

— Informacye więc są tak dobre, że....

— Że jesteś wolnym panie Izydorze Beautrelet.

— Zupełnie wolnym?

— Zupełnie. Ale pod pewnym warunkiem. Bo nie ujdzie bezkarnie, że ktoś zadaje narkotyki, ucieka przez okno, a następnie wałęsając się po cudzej własności, daje się pochwycić. Za wypuszczenie po raz drugi żądam nagrody.

— Słucham.

— A więc, dokończymy naszą przerwaną rozmowę, powiesz mi pan, jak daleko postąpiłeś w swoich poszukiwaniach. Przez dwa dni wolności musiałeś pan dużo nazbierać cennego materyału.

Ponieważ Ganimard chciał odejść, sędzia odezwał się.

— Panie inspektorze, tutaj jest pana miejsce, nie odchódź, zaręczam panu, że warto posłuchać. Pan Beautrelet ma renomę doskonałego obserwatora, któremu żaden szczegół nie ujdzie, koledzy jego uważają go za rywala Sherlock'a Holmesa.

— Rzeczywiście? zapytał Ganimard ironicznie.

— Oczywiście. Jeden z jego kolegów pisze mi: „Jeżeli Beautrelet mówi, że wie, nie wątp pan, że jest inaczej“. A zatem panie Beautrelet, masz sposobność okazać, że opinia twoich kolegów o tobie jest słuszną.

Izydor słuchał z uśmiechem, wreszcie odrzekł.

— Jesteś okrutnym, panie sędzio. Śmiejesz się z biednych kolegów, którzy się starają rozerwać w taki sposób, w jaki mogą. Zresztą masz pan słuszność i ja z mojej strony nie dam powodów do drwin.

— Więc nie wiesz nic, panie Beautrelet.

— Przyznaję pokornie, że nic nie wiem. Bo nie powiem, że coś wiem, jeżeli takie rzeczy są mi jasne, które i panu sędziemu znane być muszą.

— Naprzykład?

— Naprzykład, przedmioty skradzione.

— Więc wiesz, jakie przedmioty skradziono?

— Również i pan wiesz o nich, nie wątpię o tem. Najpierw nad tem się zastanawiałem i zdawało mi się, że poznawszy tę rzecz, praca będzie łatwiejsza.

— Będzie łatwiejsza? doprawdy?...

— Mój Boże, tak. Trzeba tylko namysłu i rozwagi.

— I nic więcej?

— Nic więcej.

— W jaki sposób doszedłeś pan do tej wiadomości?

— Otóż, *zachodziła kradzież*, gdyż obie panie równo świadczą, że widziały dwóch mężczyzn, unoszących jakieś przedmioty.

— Tak, kradzież popełniono.

— Druga rzecz, że *nic nie braknie*, gdyż pan de Gesvres nas o tem zapewnia, a musi być pod tym względem najlepiej poinformowanym.

— Tak, nic nie braknie.

— Zważywszy te dwie rzeczy, trzeba dojść do następującej konkluzyi: ponieważ coś skradziono, a mimo to nic nie braknie, musiano więc skradzione przedmioty zastąpić podobnemi. Pospieszam dodać, że moje wywody mogą być fałszywe, lecz myślę, że dobrze będzie zbadać je należycie, nim je odrzucimy.

— Rzeczywiście.... rzeczywiście, szepnął sędzia, widocznie zainteresowany.

— Cóż więc znajduje się w salonie, ciągnął dalej Izydor, na coby się złakomili złodzieje? Najpierw gobeliny. Lecz to nie możliwe. Gobeliny nie dadzą się tak łatwo naśladować. Zostają więc cztery płótna Rubensa.

— Co mówisz?

— Mówię, że te obrazy są podrobione.

— Niemożliwe!....

— Powtarzam, że obrazy te są podrobione.

— Ja powtarzam, że to niemożliwe.

— Panie sędzio, mniej więcej przed rokiem przybył tutaj pewien młody człowiek, który kazał się nazywać Charpenais. Prosił, aby mu pozwolono skopiować te cztery Rubensy. Pan de Gesvres zezwolił na to. Charpenais pracował więc przez pięć miesięcy od rana do wieczora w tym salonie. Są to więc te same kopie, które zajmują miejsce prawdziwych Rubensów, przekazanych panu de Gesvres, przez wuja jego, markiza de Bobadilla.

— Jakiż dowód?

— Nie mogę dać dowodów. Lecz jestem o tem przekonany, starczy bowiem na nie spojrzeć.

Pan Felleul i Ganimard spojrzeli na siebie, nie ukrywając zdziwienia. Pan inspektor nie myślał już o odejściu.

Wreszcie odezwał się pan Filleul:

— Trzeba zapytać się, co o tem myśli pan de Gesvres.

Ganimard przywtórzył sędziemu.

— Trzeba usłyszeć jego zdanie.

Dano więc rozkaz, aby prosić pana hrabiego do salonu.

Pan de Gesvres ukazał się natychmiast.

— Panie hrabio, dalsze poszukiwania, naprowadziły nas na zupełnie niespodziewane domysły, rozchodzi się więc o to, czy je pan potwierdzisz, lub odrzucisz. Może... — mówię może... włamywacze ci mieli na celu ukraść cztery obrazy Rubensa... czyli zastąpić jej kopiami, których dokonał przed rokiem malarz nazwiskiem Charpenais. Zechciej pan, panie hrabio przekonać się. czy obrazy te uznajesz za orginały.

Hrabia zdawał się być niemile dotknięty. Spojrzał na Izydora Beautrelet, następnie na sędziego, i odrzekł nie rzuciwszy okiem na obrazy:

— Myślałem, panie sędzio. że prawda nie wyjdzie na jaw. Ponieważ zaś jest inaczej, nie waham się oznajmić: cztery te obrazy są podrobione.

— Więc wiedziałeś pan o tem?

— Od pierwszej chwili.

— I dlaczego nie powiedziałeś pan, panie hrabio?

— Posiadacz cennego przedmiotu nie spieszy się nigdy powiedzieć, że przedmiot ten nie jest autentyczny.

— Był to jednak najprostszy sposób. aby wrócić do ich posiadania.

— Mojem zdaniem jest inny sposób lepszy.

— Jaki?

— Nie rozgłaszać tego zajścia, aby złodziei nie przestraszyć, i zaproponować im wykupienie obrazów, które bądź co bądź muszą im zawadzać.

— Lecz w jaki sposób porozumieć się z nimi?

Hrabia nic nie odrzekł, tymczasem Izydor podał sposób:

— Trzeba zamieścić krótką wzmiankę w „Journal'u", w „Echo de Paris" i w „Matin;" wzmianka ta powinna brzmieć:

„Jestem gotów odkupić obrazy."

Hrabia potwierdził skinieniem głowy. Izydor okazał się znowu bystrzejszym od swoich starszych i wytrawnych kolegów.

— Doprawdy, kochany panie, wykrzyknął pan Filleul, koledzy twoi mieli słuszność. Co za rzutki umysł! Jak tak dalej pójdzie, panie Ganimard, to nie będziemy mieli tutaj nic do czynienia.

— To nie było przecież tak trudną rzeczą.

— Chcesz pan przez to powiedzieć, że dalszy ciąg jest więcej zawiły? Zobaczymy. Przypominam sobie, że podczas naszej pierwszej rozmowy, powiedziałeś mi, że znasz nazwisko mordercy.

— Tak jest.

— Któż więc zabił Jana Daval? Żyje ten człowiek? Gdzie ukrywa się?

— Zachodzi pewne nieporozumienie, panie sędzio, i to od samego początku. Morderca, a uciekający są dwie różne osoby.

— Co pan mówisz? wykrzyknął pan Filleul. Człowiek,z którym walczył pan de Gesvres, którego panna de Saint-Véran zraniła, a którego szukamy, człowiek ten nie jest mordercą Jana Davala?

— Nie.

— Nie rozumiem więc. Któż-że jest mordercą Jana Davala?

— Jan Daval został zabity przez..... Beautrelet przerwał, zamyślił się i po chwili ciągnął dalej:

Nim powiem prawdę muszę najpierw wskazać, w jaki sposób doszedłem do tego twierdzenia, w przeciwnym razie, oskarżenie moje wydałoby się panom monstrualne. A nie jest niem... zaręczam, nie jest niem. Jest bowiem jeden szczegół, który nie został zauważony, a który ma znaczenie wielkiej wagi. Jan Daval, w chwili gdy został śmiertelnie raniony, był kompletnie ubrany tak, jak chodził codziennie z szelkami — w kołnierzyku, krawatce. Morderstwo zaś zostało popełnione o czwartej nad ranem.

— Owszem, podpadła mi ta okoliczność, rzekł sędzia, lecz zapytany o to pan de Gesvres, oświadczył, że Jan Daval lubił pracować późno w noc.

— Służba twierdzi przeciwnie, mówi, że kładł się zwykle o wczesnej porze. Lecz przypuśćmy, że nie kładł się tej nocy: dlaczego w takim razie rozebrał łóżko w ten sposób, aby dać do myślenia, że leżał? A jeżeli leżał, dlaczego usłyszawszy hałas, dał sobie tyle czasu, aby się ubrać całkowicie, zamiast, zarzucić cośkolwiek na siebie i biedz na ratunek? Zwiedziłem jego pokój tego samego dnia, w tym czasie, gdy pan jadłeś śniadanie. Widziałem, że miał przy łóżku pantofle. Dla czego nie wziął ich, zamiast ciężkich butów nabitych gwoździami?

— Dotychczas nie widzę....

— Dotychczas nie widzisz pan,, panie sędzio, jak tylko same sprzeczności. Mnie wprawdzie wydały się bardzo podejrzane, gdym się dowiedział, że malarz Charpenais był przedstawiony i polecony przez Jana Davala.

— Więc cóż?

— Ztąd nie trudno wnioskować, że Jan Daval i Charpenais działali w porozumieniu.

— Zdaje mi się, że za prędko stawiasz wnioski, panie Beautrelet.

— Rzeczywiście potrzebowałem do tego twierdzenia materyalnego dowodu. Otóż w pokoju Jana Davala, znalazłem na biurku na kawałku papieru następujący adres: „Pan A. L. N., biuro 45. Paryż“ Na drugi dzień po owem zajściu, dowiedziano się, że telegram wysłany przez pseudo-woźnicę nosił ten sam adres: A. L. N., biuro 45. Dostateczny dowód, że Jan Daval korespondował z bandą, która urządziła napad i uniosła obrazy.

Pan Filleul nie znalazł żadnego słowa opozycyi.

— Przypuśćmy, że tak jest. Współdziałanie dowiedzione, jaka więc z tego konkluzya?

— Najpierw, że uchodzący nie mógł zabić Jana Daval, ponieważ był jego wspólnikiem.

— Więc?

— Panie sędzio, proszę przypomnieć sobie pierwsze zdanie, jakie wyrzekł pan de Gesvres, gdy wrócił do przytomności. Zdanie to jest spisane w protokóle: „Nie jestem ranny... A Daval?.... czy żyje?... nóż?...“ Proszę złączyć to z drugiem zdaniem, które wyrzekł pan de Gesvres podczas przesłuchów: „Człowiek rzucił się na mnie, i powalił mnie uderzeniem pięści w kark.“ W jaki sposób będąc nieprzytomnym, pan de Gesvres przyszedłszy do siebie mógł wiedzieć, że Daval został pchnięty nożem?

Izydor Beautrelet nie czekał na odpowiedź, ciągnął bowiem dalej:

— Z tego wszystkiego wynika, że Jan Daval wprowadził bandytów do tego salonu. Gdy się tutaj znaleźli ze swoim szefem, jakiś szmer doszedł ich z tego oto buduaru. Daval otwiera drzwi. Poznając pana de Gesvres, rzuca się na niego, z nożem w ręku. Panu de Gesvres udało się wyrwać z ręki nóż, którym śmiertelnie rani Jana Davala, lecz równocześnie zostaje powalony uderzeniem pięści przez człowieka, którego obie panie widziały kilka minut później.

Znowu zdumiony wzrok pana Filleul spotkał się ze wzrokiem Ganimard'a. Sędzia zapytał:

— Panie hrabio, mam przyjąć to opowiadanie, jako zgodne z prawdą?

Pan de Gesvres milczał.

— Ależ, panie hrabio, milczenie pańskie daje dużo do myślenia... błagam, powiedz prawdę.

Pan de Gesvres odrzekł dobitnie:

— Opowiadanie pana Izydora Beautrelet, jest prawdziwe.

Sędzia zaperzył się.

— W takim razie nie rozumiem, dlaczego chciałeś nas pan wywieźć w pole! Mógłeś przecież otwarcie przyznać się do popełnionego czynu, gdyż byłeś pan w prawie bronić własnego życia.

— Jan Daval, odrzekł pan de Gesvres, pracował przy mnie przez lat dwadzieścia. Posiadał moje nieograniczone zaufanie. Jeżeli więc mnie zdradził, nie wiem dla jakich przyczyn, w każdym razie z powodu jego zasług nie chciałem, aby zdrada jego na jaw wyszła.

— Nie chciałeś pan, panie hrabio, bardzo, to pięknie, lecz powinieneś.

— Nie jestem pańskiego zdania, panie sędzio. Jeżeli dotychczas nikt nie został niewinnie o tę zbrodnię posądzony, miałem prawo nie oskarżać tego, który był zarazem winnym i ofiarą. Śmierć była dla niego karą dostateczną.

— Lecz teraz, jeżeli znamy prawdę, musisz nam pan powiedzieć wszystko, co wiesz, panie hrabio.

— Służę. Otóż są dwa listy pisane przez niego do wspólników. Wydobyłem je z portfelu kilka chwil po śmierci.

— Jaki miał powód, aby popełnić kradzież?

— W Dieppe mieszka na ulicy de la Barre pod numerem 18-tym pewna pani nazwiskiem Verdier. Aby jej przyjść z pomocą pieniężną, Daval stał się nieuczciwy.

Dramat ów wyjaśniał się powoli.

— Cóż więc dalej? ozwał się pan Filleul, gdy hrabia Gesvres wyszedł.

— Mój Boże, panie sędzio, moje wiadomości prawie, że wyczerpane.

— A gdzież znajduje się nasz uciekający, nasz ranny?

— Co do tego punktu jesteś panie sędzio, równie dobrze poinformowany, jak ja. Zauważyłeś ślady między ruinami... widziałeś....

— Tak, tak, wiem... lecz od czasu, jak go wykradli, któż mi udzieli wskazówki o tej oberży, do której go przenieśli?

— Oberży! oberży! zaśmiał się Beautrelet. To przepowiastka. Oberża ta nie istnieje. Jest to wybieg, jak tyle innych, lecz genialnie obmyślany, jeśliście panowie uwierzyli.

— Jakże nie wierzyć, kiedy doktór Delattre zaręcza...

— Właśnie dlatego, odrzekł z przekonaniem Beautrelet. Ponieważ doktór Delattre zaręcza, nie trzeba temu wierzyć. Przecież doktór Delattre nie chciał dać żadnych szczegółów, któreby prowadziły na ślad pobytu swego pacyenta! I otóż uwagę wszystkich zwraca na oberzę! Bądź pan pewnym, że rzecz tę kazano mu w ten sposób przedstawić, a nie inaczej, pod grozą zemsty. Doktor ma żonę i córkę. Za bardzo je kocha, aby nie miał być powolny tym ludziom, których olbrzymią siłę poznał. Z tego to powodu dostarczył wam tak dokładnych wskazówek.

— Doprawdy tak dokładnych, że nie możemy znaleźć owej oberzy.

— Nie możesz pan jednak przestać wierzyć, i odwróciłeś, panie sędzio, uwagę od tego jedynego miejsca, w którem człowiek ów może się znajdować, od tego tajemniczego miejsca, którego nie mógł opuścić, a do którego się wślizgnął, będąc ranionym przez pannę de Saint-Véran.

— Ależ, do pioruna, gdzież on się znajduje? W jakim zakątku piekła?

— W ruinach starego opactwa.

— Przecież już nie ma ruin! Zaledwie kilka odłamów muru... kilka strzaskanych kolumn!

— Otóż tam właśnie się zagrzebał, zawołał z mocą Izydor Beautrelet, na tę przestrzeń musicie skoncentrować poszukiwania, tam, nigdzie indziej nie znajdziecie Arsena Lupin.

— Arsena Lupin! — wykrzyknął sędzia, zrywając się z siedzenia.

Zapanowało uroczyste milczenie, w którem zdało się, że brzmią jeszcze sylaby sławnego tego nazwiska. Czyż możliwe, aby to był Arsen Lupin, którego daremnie szukają od dni kilku? Jakie szczęście dla sędziego, gdy zdoła pochwycić największego awanturnika! Czeka go sława i awans w przyszłości! Ganimard nie poruszył się. Izydor zapytał go:

— Jesteś pan mojego zdania?

— Oczywiście!

— Pan również nie wątpiłeś na chwilę, że to nikt inny, jak Lupin, zorganizował całą tę napaść.

— Nie wątpiłem ani na sekundę. Każdy czyn jego różni się od czynu innych, jak twarz od twarzy. Trzeba tylko umieć patrzeć.

— Tak pan myślisz... tak myślisz... powtarzał pan Filleul.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wśród walki z losem.

14) Wolny przekład z angielskiego przez **S. B.**

(Ciąg dalszy.)

— Obym pana mogła przekonać! Powiedziałam panu, że nie chcę wiązać do siebie żadnego mężczyzny, lecz, gdyby z łaski Niebios rozproszyć się miały cienie, które zalegly nad mą przeszłością, wtedy w poczuciu mej słabości, widząc jak silnej potrzeba mi podpory, wtedy, mówię, przyjęłabym opiekę tylko silnego, energicznego mężczyzny. Zrozumiałżeś mię teraz, Percy?

— Tak — odpowiedział przygnębiony — zrozumiałem panią.

— Powiedziałam panu twarde słowa — mówiła życzliwym, prawie macierzyńskim tonem — ale na co się przyda gorzką prawdę ubierać w piękną formę?

Powstał pełen smutku. Odzyskał już zupełnie panowanie nad sobą, a postawa jego, gdy stał przed nią wyrażała powagę i godność. Dał się porwać uczuciu, odrzucono go, nadzieje jego zostały zdruzgotane.

Powstała także, a podając mu obie ręce, rzekła: A teraz, gdyśmy już sobie wszystko powiedzieli, gdy już żadne nieporozumienie nie może mieć miejsca, pozwól pan sobie raz jeszcze serdecznie podziękować za swą ufność we mnie. Wspomnienie tego wieczora będzie mi dodawało siły i otuchy, bom się przekonała, że są jeszcze na ziemi serca prawe i wierne. Niech Bóg błogosławi panu za to, że pomimo wszelkich pozorów wierzysz w mą niewinność.

— Gdybym tylko pani w czemkolwiek mógł być użytecznym — zaczął, ale mu przerwała.

— Minęły już czasy, gdzie damy obierały sobie rycerzy — rzekła ze smętnem uśmiechem — a pan musisz swe życie poświęcić godniejszemu celowi, aniżeli mym usługom. Ale nie wymagam od pana, byś mię miał zapomnieć, proszę, zachowaj mię w miłej pamięci i dochowaj mi swą ufność. Gdy mnie zaślubiono memu mężowi, myślałam, że go z czasem pokocham; śmierć jego zasmuciła mnie. Byłoby lepiej, gdybym ja na jego miejscu była umarła, nie byłabym potrzebowała tyle cierpieć. Jeszcze do żadnej żyjącej istoty ani słowa o tem nie wypowiedziałam, milczałam przez dumę. Co mi zależało na opinii świata? Pan masz prawo usłyszeć odemnie ten prawdziwy ustęp z mego życia. Przyjm pan raz jeszcze mą najszczerszą podziękę i zarazem me pożegnanie.

— Czy to ma być pożegnanie na zawsze?

— Tak, na zawsze. Przyrzecz mi pan, że nigdy nie będziesz się starał ujrzeć mię.

— Nie mogę tego uczynić.

— Przyrzeknij mi to pan dla mego uspokojenia — prosiła.

— Mrs. Barklay — rzekł, a głos jego wyrażał smutek głęboki — będę się starał o to. Widzę mą niedorzeczność i usłucham rady pani, jakkolwiek ciężką to dla mnie będzie rzeczą. Ale moja wiara w panią żyć będzie tak długo, jak miłość moja dla niej — a ta z życiem się tylko skończy.

Puścił jej dłonie, które dotychczas w swoich był trzymał i z smutnie zwieszoną głową opuścił jej progi.

Tego wieczora Percy nie pokazał się nikomu w Hernley-hall. Śniadanie następnego rana jadł także w swoim pokoju i dopiero na obiad ukazał się w gronie familijnem, obserwując bystro Walentego Merrick, niemniej, jak tenże jego.

Że miss Shaldon i mrs. Barklay, która stawała przed sądem przysięgłych oskarżona o morderstwo, jest jedną i tą samą osobą, nie było jeszcze wiadomem ani sir Charlowi, ani lady Andison. Tylko trzy osoby wiedziały tę tajemnicę i pragnęły gorąco, osobliwie też Flora, aby nigdy nie nastąpiła konieczność ogłoszenia jej. Niewinność mrs. Barklay mogła się kiedy wykazać, albo mogła też ona opuścić Weddercombe, — w każdym jednak razie żadne z nich nie czuło się upoważnionem do rzucenia na nią kamieniem. Percy i Flora zostali ostrzeżeni przed niebezpiecznem sąsiedztwem; nie było to dla Walentego przyjemnem zadaniem, musiał mu się jednak poddać przez wzgląd na nich. Rad byłby zdał innym rękom urząd oskarżyciela, gdyż Percy z oburzeniem słuchał jego opowiadania, i w swym gniewie zdradził całą gwałtowność swego uczucia. Jednakże Walenty Merrick nie żałował swego postępku; był przekonany, że Percy prędzej, czy później pozna swą niedorzeczność i będzie mu wdzięcznym.

Nerwy Percego nie były żelazne, to też ślady tego, co w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przecierpiał, były zbyt widoczne. Jeżeli sądził, że mu się uda zająć swe miejsce przy stole bez zwrócenia na siebie szczególnej uwagi, to był najzupełniej w błędzie, albowiem lady Andison, która przez złotą lornetkę pilnie lustrowała swe otoczenie, zaledwie go spostrzegła, wykrzyknęła:

— Percy! co tobie jest?

— Nic, co mi ma być?

— Jesteś blady, jak trup i nie pokazywałeś się cały dzień, jestem pewną, że ci się coś złego przytrafiło.

— Obawiam się, Percy, iż to zbyt natężona praca — wtrącił Walenty, by mu poddać wymówkę.

Percy zrozumiał ten zamiar. — Tak jest — rzekł — pracowałem w rzeczy samej może nieco za wiele.

— Chciałbym, żeby w całym domu nie było ani jednej książki — rzekł z gniewem sir Charles i po tej uwadze nie było już mowy o bladości Percego.

Tego wieczora Walenty Merrick musiał sam ponosić trud bawienia towarzystwa. Był on dzisiaj niezwykle wymówny i pełen tryskającego dowcipu, a Percy, który w głębi duszy czuł żal do niego, obwiniał go w myśli o twardość serca i brak wszelakiego czucia, nie domyślając się, że Walenty Merrick silił się na wesołość i starał się bawić towarzystwo jedynie dla tego, by odwrócić od niego uwagę. Walenty spadł nagle bardzo nizko w szacunku, jaki Percy dotychczas miał dla niego.

Po obiedzie Walenty i Flora wyszli do ogrodu. Milczącą i nie wesołą była ta przechadzka, której im wolno było używać podczas drzemki poobiedniej sir Charla. Lady Andison siedziała przy oknie, rzucając od czasu do czasu okiem na szczęśliwą parę, a Percy zbyt przygnębiony, nie mając ochoty do rozmowy, udał się do swego pokoju. Zawiedziony w swej pierwszej miłości, zdawał się mieć żal do wszystkich, co go otaczali.

Rozmowa pomiędzy Walentym i Florą Andison nie składała się tego wieczoru z tkliwych słówek i wynurzeń miłosnych. Głównym jej przedmiotem był Percy Andison.

— Bardzoby mi było przykro ,Walku, — mówiła Flora — gdyby dotychczasowa przyjaźń twoja i Percego miała osłabnąć.

— Jeżeli on nie widzi tego, żem go tylko w jego własnym interesie ostrzegł, to dziękuję za jego przyjaźń — odrzekł Walenty prawie ostro.

— O, Walku, i ty także gniewasz się na niego.

— Słyszałaś, Floro, jak się wczoraj uniósł. Przebaczyłem mu to, mając wzgląd na jego boleść, ale dzisiejszych przekąsów i przycinków nie przebaczyłbym mu nigdy, gdyby...

— Gdyby co? — spytała nieśmiało.

Gdyby nie był bratem Flory Andison — odrzekł z tkliwem spojrzeniem.

— Dziękuję ci. Wiedziałem, że mu przebaczysz, ty wiesz, że on kocha Helenę.

— Biedny Percy!

— Czy on tak bardzo godzien pożałowania, dla tego, że kocha?

— Każdy mężczyzna jest godnym pożałowania, skoro przedmiot jego miłości nie jest go godnym.

— Tak, ale Helena Barklay dotąd się niegodną nie okazała. Ach, Walku, nie patrz tak gniewnie — prosiła — ja o tobie nie wątpię, a jednak nie mogę uwierzyć w winę tej nieszczęsnej kobiety.

— Twój rodzaj trudnym jest do przekonania — odpowiedział śmiejąc się. Ja zrobiłem, co do mnie należało, a ty teraz musisz się zdać na swój własny sąd.

— Gdybyś ty był ją widział i słyszał, gdyśmy same były.

— Tak, gdybym ją był słyszał — odrzekł z ironią.

— Uciekać przed nią jak tchórz, albo zawrócić z drogi, gdybym ją miała spotkać, jakbym się obawiała, że mnie zabije, nie Walenty, tegobym uczynić nie mogła. Nadaremnie starasz się mnie przekonać.

— Upór jest kobiet właściwością — odrzekł z namaszczeniem.

— Dotrzymam słowa i będę czekała, aż nadejdą papiery. Kiedy mogą nadejść?

— Już nadeszły.

— O, w takim razie muszę je zaraz dostać! Gdzie są?

— W rękach twego brata. Posłałem mu je do jego pokoju. Nadeszły wieczorną pocztą.

— Jemu posłałeś? On je zniszczy!

— Do licha, on gotów to zrobić! — zawołał przestraszony. — Ale nie, tak nierozsądnym nie będzie. Zresztą nie targnąłby się na cudzą własność. Ale pójdę do niego, zanim je do końca przeczyta.

— Czy on je będzie czytał?

— Słowo w słowo, od początku do końca, aby módz zbijać me twierdzenia. Tego jednak nie dokaże.

— Czyż te twierdzenia zdołają przekonać mężczyznę, który kocha?

— Przekonają go — była stanowcza odpowiedź.

Flora drżała w głębi duszy. — Tego nie przypuszczam — rzekła — jak nie jestem w stanie przypuścić, by ona była zbrodniarką. Gdyby tak było jednakże, tobym już do nikogo nie mogła powziąść zaufania.

— Z jednej ostateczności w drugą, prawdziwie po kobiecemu — rzekł i pochyliwszy się, złożył pocałunek na jej czole. — Ale teraz, Floro, dość o Helenie Barklay; korzystajmy z naszego drogiego sam na sam.

— Flora się zarumieniła i spuściła oczy. — Dobrze, ale..

— Ale co?

— Ale zrób to dla mnie i udaj się potem do Percego. Lękam się o niego, jeszcze nigdy nie widziałam go tak zmienionym. Pójdę teraz do niego i powiem mu, że przyjdziesz.

— Nie, daj mu pokój — odrzekł prędko — pozostaw go z memi aktami, to go wytrzeźwi. Chyba bym się musiał bardzo mylić w mym sądzie.

— Zdajesz się być ogromnie zarozumiałym — zawołała. — Zaczynam przychodzić do przekonania, że mój pan ma o sobie dość wysokie wyobrażenie.

Wśród podobnych żarcików zapomniano na chwilę o Helenie Barklay, ale za powrotem do salonu nieszczęsna kobieta przyszła im znowu na myśl i Walenty czytał w poważnem spojrzeniu narzeczonej życzenie, by się udał do Percego. Rozmawiano właśnie o nim, więc Walenty znalazł do tego dobrą sposobność, którą też skwapliwie pochwycił.

— Pójdę do niego zobaczyć, co robi — rzekł wstając.— Jeżeli mi się nie uda sprowadzić go ze sobą, to zostanę u niego i rozerwę go cokolwiek.

— Bardzo to uprzejmie ze strony pańskiej — ozwał się sir Charles. — Ale jabym się o niego nie troszczył, dopóki sam do rozumu nie przyjdzie.

— To bardzo piękne słowa, jak na ojca — zauważyła złośliwie lady Andison.

— Nie widzę powodu, by cały dom miał popadać w rozpacz, ponieważ jemu podoba się od nas uciekać — mówił sir Charles.

— Nie wiem, co zawinił biedny chłopak, jeżeli...

Walenty nie słuchał dalej. Wiedział bowiem z doświadczenia, że sir Charles i lady Andison jeszcze z jakie pół godziny będą się sprzeczali. Wyniósł się więc cichaczem i udał się do apartamentu Percego. Mieszkanie, które ten ostatni zajmował, składało się z dwóch obszernych pokoi na pierwszem piętrze, z których pierwszy był przez pół biblioteką i pracownią zarazem, a tak zawalony księgami, rozmaitemi aparatami naukowemi i tym podobnemi przedmiotami, że wyglądał jak pracownia alchemika.

Walenty zapukał, ale mu nie odpowiedziano. Gdy na kilkakrotne pukanie Percy się nie odzywał, Walenty otworzył drzwi i wszedł, potem zamknął drzwi na klucz i stanął na progu.

— Nie odzywaj się do mnie, nie przerywaj mi — ozwał się Percy słabym drżącym głosem.

Walenty nie mylił się. Akta procesu Helenv Barklay były w rękach Percego i młodzieniec blady jak widmo siedział we framudze okna zagłębiony w ich czytaniu przy świetle lampy stojącej przy nim na stoliku.

Adwokat poczekał chwilkę, a odgadując co się działo w duszy przyjaciela, postąpił ku niemu. — Percy, to było nad twe siły, jesteś chory.

— Nie jestem chory, daj mi pokój — odrzekł głucho.

— Zaziębisz się siedząc przy otwartem oknie, jest przeciąg.

— Bardzo mi boleśnie, iż to tak głęboko uczułeś. Miałem cię jednak za silniejszego i uważałem sobie za obowiązek przeszkodzić ci w tej romantycznej awanturze.

— Dajże mi pokój, na miłość Boską — odpowiedział bezdźwięcznym głosem — już tylko kilka stron mam do przeczytania, pozwólże mi dokończyć.

— Dobrze, poczekam. Walenty Merrick usiadł o kilka kroków od swego przyjaciela i wsparłszy brodę na ręku bacznie mu się przypatrywał. Nie przerywał mu już, a gdy ostatnie karty upadły na ziemię, gdzie poprzednio przeczytane bezładnie rozrzucone leżały, nie śmiał się odezwać. Percy odwrócił twarz ku oknu i patrzał bezwiednie w oblany jasnem miesięcznem światłem krajobraz czerpiąc rozpalonemi usty chłodne powietrze i cisnąc gardło wychudłą ręką.

Dopiero gdy twarz na pokój zwrócił i na pół nieprzytomnym wzrokiem patrzył na Walentego, zapytał tenże: Przeczytałeś?

— Tak.

— I moje oskarżenie?

— Tak.

— I moje dowody?

— Tak, wszystko.

— I cóż?

— To, że Helena Barklay jest niewinną — wykrzyknął Percy zapalając się.

— To nie do uwierzenia. Takie zaślepienie.

— Mnie nie oszuka ten szereg tak głęboko obmyślanych wywodów, które skułeś w jeden kunsztowny łańcuch, by cel swój osięgnąć i zgnieść tę kobietę! — zawołał gwałtownie.

— Percy! — zawołał Walenty pół z gniewem, pół z wyrzutem.

— Gdyby przysięgli byli usłuchali twych wywodów, byłaby poszła na rusztowanie! — wykrzyknął wściekle.

— Zamordowała starego Barklaya.

— To nędzna potwarz!

Walenty Merrick milcząc, patrzył na niego badawczo, a potem odezwał się z zupełnym spokojem. Miałem nadzieję Percy, że dwadzieścia cztery godzin spokojnego rozmysłu, wrócą ci równowagę. Byłem pewny, że jeden rzut oka w te papiery przekona cię, iż wyrok, jaki wydałem na nią, był owocem gruntownego rozmysłu.

— Owocem tego gruntownego rozmysłu jest to, że złamałeś jej życie.

— Żem się starał przestrzedz mych przyjaciół przed tą niefortunną przyjaźnią wcale tego nie żałuję — rzekł Walenty zbierając papiery i porządkując je.

— Co zamierzasz zrobić z temi dokumentami? — zapytał Percy mniej już gniewnie.

— Nie będę ich publikował, natomiast odczytam je jeszcze raz uważnie, skoro losy Heleny Barklay tak niespodziewanie powikłały się z naszemi. Chcesz mi odpowiedzieć na jedno pytanie?

— Czego chcesz odemnie? Nie mogę, nie chcę odpowiedzieć na żadne pytania.

— Na czem polega twe przekonanie o jej niewinności? Jeżeliś znalazł jaki punkt, ucieszy mię to tak samo jak ciebie.

— Dla czego?

— Ponieważ jej twarz ma taki wyraz szczerości i prawdy, że poczynam się lękać, ażali nie popełniłem strasznej pomyłki. Gdyby tak było, jakąż okrutną krzywdę wyrządzibym tej kobiecie, jak nędznem uczyniłbym jej życie, ileby ona wycierpieć musiała.

Percy ze zgrozą odwrócił wzrok od papierów. — One mi rozdzierają serce, lodem ścinają krew w mych żyłach. Czy myślisz, że byłbym w stanie ślęczeć nad tą niecną bazgraniną, gdyby mi Helena była obojętną? Czytałem tam tylko jej cierpienia, jej męczeństwo, drżałem na myśl, że tylko o włos oddaloną była od rusztowania, na które byłbyś ją zaprowadził, gdybyś był mógł. Cudem tylko uszła temu losowi. Jest mi tak, jakby to się wczoraj stało, a jam ją kochał całe życie.

— Wczoraj, Percy, byliśmy jeszcze przyjaciółmi; dzisiaj ta kobieta stanęła pomiędzy nami; powiedziałeś mi takie słowa, za które każdego innego pociągnąłbym do odpowiedzialności. Przebaczam ci je przez wzgląd na twą siostrę, przez wzgląd na ciebie samego, bo podyktowała je boleść bezmierna i nie wiedziałeś, co mówisz. Lecz dziś wieczór dałeś mi do zrozumienia, że skarga moja opartą była na kłamliwych wywodach i zrobiłeś aluzyą, iżem miał osobiste powody, by spotwarzyć tę kobietę. W swej naiwnej rycerskości podniosłeś broń przeciw mnie, którego znasz od dziecka w obronie kobiety, o której istnieniu jeszcze przed kilku miesiącami nic a nic nie wiedziałeś. Jej wierzysz, a mnie nazywasz kłamcą. Ale ja ci jej winę udowodnię.

— Ani słowa więcej przeciw niej. Tak mi Boże dopomóż! — zawołał Percy. — Wczoraj wieczór zapytałem jej, czy chce zostać moją żoną.

— Ty?! — zawołał Walenty. — Więc się z nią zaręczyłeś i pojmiesz ją za żonę?

— Odmówiła mi. — Przygnębiony oparł się o ramę okna i smutnie zwiesił głowę.

Nastąpiła chwila milczenia. Następnie Merrick zbliżył się i dotknąwszy lekko ramienia Percego, rzekł: Boli mię to, Percy, nie wiedziałem, że już tak daleko zaszło; dwa dni temu zaledwo, zaprzeczyłeś, że ją kochasz.

— Wtedy żartowaliśmy, dzisiaj mówimy poważnie.

— Może to tylko chwilowy obłęd, który silną wolą da się stłumić. Przedewszystkiem, cóż ty wiesz o Helenie Barklay?

— To, że ją kocham całą potęgą mej duszy i że ona nigdy kochać mnie nie będzie — odrzekł podnosząc na przyjaciela wzrok pełen bezmiernego smutku. Więcej nie wiem i nie chcę wiedzieć.

— Ależ to niedorzeczność. Może niezadługo ujrzysz godniejszy siebie ideał. Bądź rozsądnym, Percy i daj nam zapomnieć przykre słowa, któremiś mię obrzucił w jej obronie.

— Byłeś jej oskarżycielem.

— To ostry wyraz, lecz przyznaję, nie całkiem nieodpowiedni. Pragnąłem uchronić mych przyjaciół przed niebezpieczną znajomością, było to dla mnie bolesnem zadaniem i nierad je spełniłem. Nie udało mi się przekonać właśnie tego, który o szczerości mych zamiarów nie powinien wątpić, tem mniej podejrzywać, że chciałem szkodzić kobiecie, którą wczoraj po raz trzeci zaledwo w mem życiu ujrzałem.

Percy milczał. Uwaga jego zwróconą była na coś innego, bo się wychylił oknem i patrzał ciekawie na jakiś punkt w parku.

— Cóż tam masz takiego? — zapytał Walenty.

— Nic, to stary pies podwórzowy łazi — była powolna odpowiedź. Zamknął okno, zapuścił zasłonę i rzuciwszy się na krzesło sięgnął po pierwszą lepszą książkę leżącą w pobliżu. Walenty zrozumiał to i powstał.

— Dobranoc Percy. Nie będę spał dzisiejszej nocy, ale jeszcze raz z uwagą odczytam te papiery. Może wynajdę co takiego, coby mówiło na korzyść Heleny Barklay.

— Nie uda ci się to, bo jesteś uprzedzony.

— Dobranoc.

— Dobranoc — była niepewna odpowiedź.

Walenty wyszedł niezadowolony. Zły był na Percego za jego upór i czuł żal do niego, że tak zimno przyjął jego pojednawcze chęci, widział bowiem, że go nie zrozumiano. Prócz tego martwiło go nierozsądne zaślepienie przyjaciela. Ale jakżeby się był zdziwił, gdyby był zobaczył, że Percy po jego wyjściu podniósł napowrót rolos, otworzył ostrożnie okno i zająwszy przy niem swe poprzednie miejsce, pilnie pilnie począł wyglądać, jakoby się spodziewał, że w ciągu tej nocy jeszcze niezwykłe rzeczy dziać się będą w Hernley-hall.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Abonujcie i polecajcie „Pracę.“
„Praca“ kosztuje kwartalnie 1,50 M.

1859 Hurtowy Handel win pod złotym Wiankiem

Najtańsze i najlepsze źródło zakupu
czystych i odstałych
win górnowęgierskich
oraz **wybornych, smacznych**
win słodkich Tarragońskich
łagodno słodkie 1/1 ltr. mk. 1,50 mk. }
pełne „ 1/1 ltr. mk. 2,00 mk. } włącznie szkła.

Koniaki, Rumy, Araki.
Wina z Bordeaux (czerwone i białe)
znajdują się u starej renomowanej firmy: 65

A. Pfitzner
w Poznaniu (Stary Rynek 34) wchód z ulicy Wiankowej.
Mád pod Tokajem własne winnice.

Cenniki bezpłatnie.
Kupcom znaczny rabat.

Patent. zastrzeż:
„Donatol“
błyszczyk na obuwie,
pierwszorzędny fabrykat
z chemicznej fabryki
„Donatol“ Wąbrzeźno Pr. Z. (Briesen, Wpr.)
wszędzie do nabycia

Wprawiam i plombuję zęby
podług najnowszej metody po przystępnych cenach. — Wykonanie dokładne i artyst. Przyjmuję od 9. rana do 6. po południu. 125
J. i A. Marszałek,
Poznań, św. Marcin 56, I,
Zakład dentystyczny.

Fortepiany i harmonia
tanio a rzetelnie poleca
A. DRYGAS
Poznań, Św. Marcin 64.
DRYGAS

Nowość!



Nowość!

Każdy **zdumieje** gdy ujrzy na **zegarku** swego św. **Patrona** w tak artystycznem i nad wyraz pięknem wykonaniu. **Wizerunki** są tak wiernie i cudnie oddane, że uchodzić mogą za dzieło tego rodzaju w świecie. **Zegarek taki** powinien **każdy posiadać**, lub jako **pamiątkę** ojcu, bratu albo innemu ofiarować. **Czysto srebrne zegarki** z wizerunkami każdego **św.** patrona: więc św. **Stanisława**, św. **Józefa**, św. **Wojciecha**, św. **Marcina**, św. **Jana**, św. **Wawrzyńca**, św. **Antoniego**, św. **Franciszka**, św. **Jakóba** i wogóle każdego innego swego św. **Patrona** może mieć każdy artystycznie wykonanym na szczero srebrnym, trwałym i pamiątkowym zegarku za tylko mk. 18,00 z pięknie rytow. złotemi brzeg. i wskazówkami. Werk zegarka tego jest jedynie najlepszy cylinder klucz. lub rem. na 10 rubis, kamieniach, już dokładnie obciągane i na minutę uregulowane. Za każdy zegarek daję na **5 lat** piśmienną gwarancyą. Jeżeliby zegarek nie miał się podobać, to wracam pieniądze. Zegarki z wizerunkami **Matki Boskiej** po **12,00, 14,00** i **16,00 mk.**
Cenniki około 3000 ilustracyi wysełam darmo i franko.
Adres: **M. Danecki,** Poznań - Posen, Św. Marcin 58.

Przy zamówieniach prosimy powoływać się na ogłoszenia „Pracy.“

■ Specyalny magazyn konfekcyi damskiej ■
K. SIUCHNIŃSKI
POZNAN
ulica Nowa, narożnik Starego Rynku. 446

Kostyumy gotowe
na składzie począwszy
od **12,00** do **225,00** mk.

Kostyum „Wanda“
sukienny na jedwabiu
kosztuje tylko **39,00** mk.



Suknie gotowe.
Artykuły żałobne.
Futerka damskie.
Żakiety pluszowe.

Paltoty damskie
kolorowe
od **6,50** do **145,00** mk.

Paltoty damskie
czarne
od **7,50** do **165,00** mk.

Szlafroczki i matynki.
Spódnice czarne
od **5,70** do **78,00** mk.
Garderoba dla dzieci.

Bluzki
od **95** fen. do **85,00** mk.
Spódnice kolorowe
od **3,25** do **54,00** mk.
Halki
od **1,75** do **58,00** mk.

Szkoła handlowa Preissa
Ul. Św. Marcina 64.
Założona 1893 r. Telefon nr. 2699.
Nowe kursa rozpoczynają się 521
dnia 3-go stycznia
Gruntowna, praktyczna nauka przez doświadczone i rutynowane siły nauczycielskie. Kurs trwa 3 miesiące.
Nauka w klasach oddzielnych podług planu zaprowadzonego w pierwszorzędnych szkołach handlowych. Tygodniowo 27 lekcyi obowiązkowych. Prospekty na żądanie.
Dyrektor.
Zgłoszenia przyjmuje się codziennie od godz. **2—4** i od **6—7.**

B. Bąkowski
Poznań W. 6, ul. W. Berlińska 65.
Jedyna polska fabryka
okien inspektowych.
Wielki zapas gotowych okien na składzie.
Hurtowny handel szkła.
Cenniki na życzenie franko. 393

Nakładem i drukiem „Pracy“ Drukarni Nakładowej Sp. z ogr. p. — Redaktorzy odpowiedzialni: Za dział polityczny, wiadomości i dział illustrowany p. Bolesław Rakowski z Poznania, za dział ogłoszeń p. Wincenty Szmytkowski z Poznania.